



TYGODNIK ILUSTROWANY

BIESIADA

NR. 4

WARSZAWA 9 LISTOPADA 1924

SAMOCHODY — KUPNO — SPRZEDAŻ — WYNAJEM —

WSZELKIE ARTYKUŁY SAMOCHODOWE, BENZYNA i t. p.

FRANCISZEK PANCER INŻ.

WARSZAWA SZPITALNA Nr. 3. ————— Telef. 243-41.

Kapelusze

najnowszych fasonów

w wielkim wyborze

poleca

Maison de Mode

Z. Mierucka

Warszawa, Krucza 17.

PIERWSZA CHRZEŚCIJAŃSKA WYTWÓRNIA UBIORÓW
uczniowskich i dzieciennych

Br. LEO

Warszawa, ul. D o b r a Nr. 96.

Telefon Nr. 285-66 (przy moście Kierbedzia).

F I L J E :

„WIELOPOLE“

Nº Nº 205, 207 i 277

Tel. 285-67.



POLECAMY W WIELKIM WYBORZE:
gotowe mundurki gimnazjalne, ubrania
harcerskie, palta, jesionki, saczki, spodnie
i spodenki

oraz specjalny dział wyrobów z pluszu.

Przyjmujemy wszelkie zamówienia
z własnych i powierzonych
materiałów.

ROBOTA — WYKONANIE — CENY
SOLIDNA — SZYBKIE — KONKURENCYJNE

OTWOCK — PRZEZ CAŁY ROK — OTWARTY — PENSJONAT

dla piersiowo chorych pod stałą opieką lekarską D-ra med. P. MARTYSZEWSKIEGO

Pensjonat mieści się w domu nowowypbudowanym, system kurytarzowy, kanalizacja, wanna i światło elektryczne. Blizsze informacje na miejscu przy ul. Kościelnej róg Kościuszki lub też w Warszawie codziennie przy ul. Aleje Ujazdowskie 28 m. 21 telefon 318-28 i we wtorki i piątki od godz. 4 do 6 u D-ra med. P. MARTYSZEWSKIEGO Wspólna 15 m. 5. tel. 11-81.

B I E S I A D A

P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA NOWY ŚWIAT 50, TEL. 291-60

WARSZAWA 9 LISTOPADA 1924 ROK I NR 4.



AMERYKAŃSKIE MASZYNY BIUROWE

Dogodne warunki kupna

TOW. „PACIFIC“ S. A.
Warszawa, Jerozolimska 25
tel 117-80 i 80-37



N A S Z E S P R A W Y

GRANICE POLSKI NA WSCHODZIE.

U kształtowanie granic Rzeczypospolitej Polskiej na wschodzie, choć dziś już przesądzone na dłuższy zapewne okres dziejowy traktatem ryskim z dnia 19 marca 1921 r., pozostaje pomimo to wciąż tematem rozważań zarówno jednostek, jak pewnych grup i zrzeszeń, zastanawiających się głębiej nad przyszłością naszego kraju. Jest to objaw naturalny i jaknajbardziej zrozumiały. Gdy bowiem na zachodzie Rzeczypospolitej zagadnienie granic nie może budzić zasadniczych wątpliwości wobec ustalonego naogół nietylko przez polską, ale i przez niemiecką naukę charakteru narodowego poszczególnych powiatów i okolic,—na wschodzie sytuacja pod każdym względem przedstawia się zgoła inaczej. Zwróciwszy się w tę stronę, stajemy odrazu wobec całego splotu kwestyj, o skali niekiedy wręcz olbrzymiej, związanych najściślej z najżywotniejszymi interesami całej Polski i mogących nieraz jeszcze zażyć decydująco na dalszych jej losach.

Ażeby zrozumieć i ocenić wszystkie trudności, jakie nasuwać się muszą każdemu bez wyjątku po-

litykowi i mężowi stanu, próbującemu rozwiązać ten węzeł isticie gordyjski—należy przede wszystkim uświadomić sobie ten podstawowy, a jaknajbardziej doniosły dla całej sprawy fakt, że Polska na wschodzie nie posiada wcale granic etnograficznych. Wskutek bliskości rasowej, językowej a do czasu zniesienia unji nawet i religijnej—mieszkańców rozległych obszarów dorzeczy Buğu, Niemna, a w pewnym stopniu także Dźwiny, Dniepru i Dniestru,—potworzyły się w ciągu długich wieków wspólnego pożycia państwowego na całym tem terytorjum niezliczone zazębienia, wyspy i wysepki narodowościowe, które dają dziś obraz najzupełniejszej mozaiki: polsko-ruskiej (ukraińskiej), polsko-białoruskiej, polsko-litewskiej i nawet polsko-łotewskiej.

W dość licznych kołach społeczeństwa naszego, lubujących się świadomie w upraszczaniu sobie najbardziej skomplikowanych zagadnień, jest w użyciu powszechnem fikcja, jakoby granice etnograficzne polskie na wschodzie dochodziły do Buğu i Niemna. Przypadkowa zatem linja graniczna dawnej Kongre-



Pikieta z psem policyjnym na moście w pow. śwłęciańskim.

sówki ma się rzekomo pokrywać z granicą rozsiedlenia ludności polskiej. Tak jednak bynajmniej nie jest. Z jednej bowiem strony badania, statystyki, mapy etnograficzne rosyjskie podkreślają już od dość dawna obecność żywiołu ruskiego na ziemiach, położonych na zachód od Bugu i Niemna (stąd walka o ziemię chełmską, o Podlasie bialsko-siedleckie, o powiat augustowski wraz z całą Suwalszczyzną, nie mówiąc już o dalej jeszcze idących w swoim czasie projektach rozgraniczenia), — z drugiej znowu strony nie tylko dawne tradycje, nie tylko niektóre nowsze badania polskie, ale nawet przeprowadzane przez wrogię nam bezwzględnie władze niemieckie spisy ludności w latach wojny (1915 i 1917) stwierdzają obecność dużych mas ludności językowo polskiej, lub przynajmniej uważającej się za polską — na olbrzymich terenach dawnej Litwy historycznej na wschód od tegoż Bugu i Niemna aż hen po Dniepr i Dźwinę. Taki np. pow. lidzki (5616 km.² obszaru) ma według ostatniego spisu polskiego, potwierdzającego dane poprzednich obliczeń niemieckich, na 200 tys. blisko głów ludności 75,6 proc. Polaków. Podobne stosunki znajdujemy w powiatach: wileńskim, oszmiańskim, wołyńskim, czyli na terenach, leżących daleko na wschód od linii Niemna i Bugu.

Ale obok obszarów ze zwartą ludnością polską znajdujemy na całym niemal terenie Litwy historycznej liczne wsie i okolice, zamieszkałe przez ludność, mówiącą nieraz w domu „poprostemu“, przywiązana jednak bardzo mocno do polskośći i uważającą się bezwzględnie za polską.

Układ stosunków narodowo-kulturalnych wśród tej ludności (oczywiście — nie w całym kraju, tylko w niektórych, dość zresztą licznych jego okolicach) przypominał żywo stosunki wśród unitów w byłej Kongresówce. I tu i tam rząd rosyjski z całą bez-

względnością usiłował utopić w „morzu rosyjskiem“ te dziesiątki i setki tysięcy dusz „opornych“, należących pod względem narodowym do typu przejściowego, w każdym razie jednak bliżej związanych duchowo z kulturą i społeczeństwem polskim, niż z rosyjskim. Słynne szeroko gwałty rosyjskie w Pratulinie, Bohukałach i tylu innych miejscowościach w obecnym województwie lubelskim nie były bynajmniej czemś oderwanem. Przeciwnie był to tylko dalszy ciąg tego, co nieco wcześniej działo się w Kleszczelach i Porosowie w b. gubernji grodzieńskiej, w Niedźwiedziicy Rubieżewiczach, Wołmie, Iwieńcu w b. gub. mińskiej, i dalej jeszcze znacznie na wschód, w Dziernowiczach już za Dźwiną w pow. drysieńskim, w Białyniczach i Dudakowiczach koło Mohylewa naddnieprzańskiego, słowem, aż po granice Polski przedrobiorowej. Część tych dusz zdołały władze rosyjskie oderwać przemocą od kultury polskiej, część inna, która utrzymała się przy polskośći, podlega dziś za kordonem granicznym na inny sposób eksperymentom rusyfikacyjnym. Ale polskość tkwi głęboko w tych duszach i próby mogą się nie udać.

Wśród 12-miljonowej (w ogólnych cyfrach) ludności byłych sześciu gubernij rosyjskich Litwy historycznej, obok sześciu milionów Białorusinów i półtora miliona Litwinów, jest od 2 do 2 i pół miliona ludności polskiej, — reszta przypada na Żydów, Rosjan, Łotyszów. Ludność ta jest zmieszana ze sobą tak, że wyłączyć ją w osobne terytorja etnograficzne wprost niepodobna. Nawet siedzący najbardziej zwartą masą nad dolnym Niemnem Litwini mają wśród siebie — nie mówiąc już o ziemiaństwie polkiem — znaczne enklawy ludu polskiego pod Wilkomierzem, Kownem, Kiejdanami itd.

W tych warunkach granica Polski na wschodzie



Strażnica kompanji pogranicznej w Skopsku w pow. wileńsko-trockim.

nietylko musi być daleką od doskonałości, ale w każdym bezwzględnie wypadku wywoływać będzie gorycz i niezadowolenie po obu stronach kordonu granicznego. Gdy jedni bowiem z miejscowych mieszkańców chcieliby przejść pod panowanie polskie, inni chętniejby widzieli nad sobą władzę rosyjską. Pewnem jest również to, że cofnięcie granicy państwowej do tak zwanej naszej granicy etnograficznej nad Niemnem i Bugiem nietylko skrzywdziłoby głęboko miliony ludności polskiej, zamieszkałej bardziej na wschód, ale również w najmniejszym stopniu nie załagodziłoby naszych stosunków wewnętrznych, gdyż bądź co bądź pozostałaby jeszcze w kraju spora liczba elementów pochodzenia ruskiego, na które propaganda rosyjska poczęłaby zaraz oddziaływać z tą samą zupełnie, co i dziś, intensywnością. Działyby się to jednak już nie pod Łunińcem i Stołpcami, ale pod Białą, Radzyniem i Chełmem.

Granica obecna polska na wschodzie, ustalona

przez traktat ryski, jest granicą kompromisu. Z natury rzeczy budzić też musi liczne krytyki i wątpliwości. Ma ona jednak niewątpliwie te dwie ważne zalety, że primo: włączyła do Polski większość terytorjów z dużemi skupieniami ludności polskiej, i — secundo dzięki swej konfiguracji zasłania stolicę kraju i całą Polskę centralną od bezpośredniego na wypadek wojny uderzenia ze wschodu.

Oba te punkty znalazłyby oczywiście dużo pełniejszy swój wyraz, gdyby granica Polski oparta została o Dźwinę i Dniepr, jak za czasów dawnej Rzeczypospolitej. Pociągnęłyby to jednak za sobą automatycznie bardzo daleko idące konsekwencje, wymagające wielkiego nateżenia wszystkich sił moralnych i materialnych całego narodu. Na taki wysiłek w ciężkich i trudnych latach odbudowy Polski zdobyć się już nie mogliśmy, czy też tylko — nie umieliśmy.

E. MALISZEWSKI.

DOOKOŁA NOWEJ POLSKI.

III.

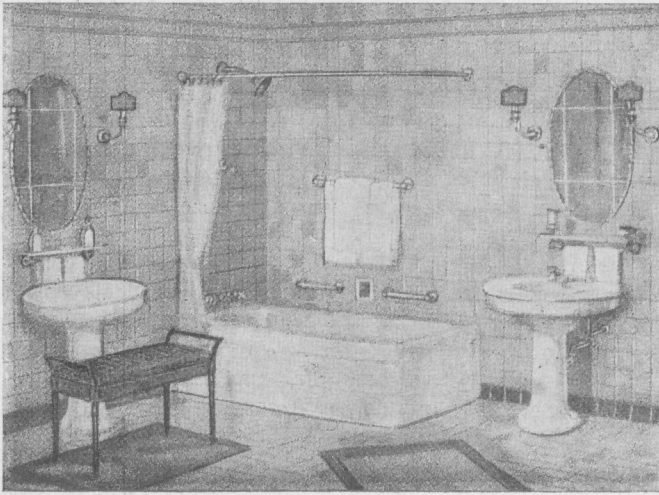
Sprawa mieszkaniowa u nas idzie jak dotąd samopas. Tracimy wielkie sumy na budowę mieszkań, których uderzającą cechą jest bezpłatność lub niefortunny plan rozmieszczenia, nie uwzględniający zupełnie: 1) potrzeb mieszkańca — 2) estetyki obiektywnej — 3) poziomu kulturalnego współczesności.

Zacnijmy od tego, że przeciętne mieszkaniem nie ma z wyjątkiem łazienki. Zdawałoby się, że ci ludzie są z innej gliny, która może być czysta, jakkolwiek rzadko się płucze. Antypatycznie nie lubimy postawić sobie wprost przed oczy brudnej zaiste prawdy, że przez budowanie mieszkań bez łazienki, a mieszkań tych jest olbrzymia większość: skazujemy zgóry olbrzymią większość ludności na niechlujstwo. A któż należy do tej większości? Warstwa pracująca. Ludzie zatrudnieni po mniej lub więcej ciasnych biurach, urzędach, warsztatach lub fabrykach, skąd z konieczności wracają brudni. Wracają tak sześć dni w tygodniu, a siódmego idą do kościoła, do kina lub na zabawę i tam wzajemnie zatykają nosy, bo żadne zbiorowisko ludzkie poza może Żydami nie pachnie tak, jak Polacy, potem brudem i niechlujstwem. Na okrętach transatlantycznych zarząd zmuszony był wydzielać Polaków, narówni z Żydami, w osobne odseparowane grupy, gdyż

inni emigranci trzeciej klasy — a więc ta sama warstwa ludzi, tylko z krajów kulturalniejszych — protestowała przeciwko współżyciu z nimi na okręcie z powodu ich nieobyczajnego zachowania i brudni. Wyobrażamy sobie z łatwością, jak miło jest władzom polskim zagranicą dostawać podobne zawiadomienia. A jakże może być inaczej, skoro u siebie w domu, w Polsce, ci ludzie przyzwyczaili się uważać kapiel za coś dostępnego jedynie „burzujom?” O ileż wyżej pod względem ochędóstwa stoi nawet chłop ro-



Kuchnia amerykańska z szafą rozbieraną i rozsuwaną na rozmaite sposoby.



Łazienka amerykańska.

syjski, który bodaj raz na tydzień w sobotę, ale już sakramentalnie musi się wyparzyć i wyszorować na czerwono w gorącej jak przedpiekle „bani“ Nie mówię już o zwykłym robotniku amerykańskim, który po zrzuceniu bluzy robotniczej (tam są to właśnie raczej spodnie z szelkami—„oreralls“) staje się wykąpanym i wygolonym, jak każdy inny, obywatelem Gwiazdzistych Stanów. I łazienka w jego robotniczym mieszkaniu — bo ją ma! — przedstawia się naprawdę, naprawdę dużo lepiej, niż niejedna wanna w naszym wielkomiejskim mieszkaniu, gdzie woda bądź nie ciecze, bądź przecieka, bądź też wogóle pani domu trzyma w niej węgiel, drzewo lub kartofle... przez oszczędność miejsca. Zdawałoby się, że jest to niewia-

rogodne, ale pewna młoda panienska z przeciętnie mieszkającej inteligienckiej rodziny urzędniczej, po wyjściu za mąż dosłownie nie mogła się nacieszyć... z własnej umywalni.

— Mieliliśmy trzy pokoje i było nas siedmioro, w tem chłopcy i ojciec. Czy można kiedykolwiek się umyć porządnie za parawanem w jadalni, przez którą coraz ktoś szedł!..

Oczywiście, nie można. A wiele dziewcząt urzędniczek lub pracownic fachowych ma za całą toaletę kącik za parawanem, i miednicę na litr wody, której przytem nie wolno rozpluskać, bo podłoga!.. A wiele mamy czwartych i piątych pięter, dokąd woda w zimie nie dochodzi, bo zimno i marzną rury, a w lecie—bo polewają ulice i wody brak?.. Proszę—że się kąpać, nosząc wiadrem wodę z kranu na dole! Kiedy pomyślimy o czystości naczyń, mytych oszczędnościowo, o gotowaniu i sprzątaniu w tych warunkach, o praniu... Robi się bardziej niż przykro! I dlaczego? Bo domy miejskie są budowane na potrójnie chybionem założeniu: popierwsze — ubóstwo środków wogóle; po drugie — nieuczciwe oszczędzanie przez gospodarza na wszystkim, co nie jest koniecznością wobec pewności, że i tak mieszkanie będzie wzięte, byle tylko mieć jakiś ką i dach; po trzecie — brak dyrektywy w naszym budownictwie, któraby wprowadziła pewne minimum konieczne, oparte na wymaganiach higieny, estetyki i postępu. Tedy, w imię higieny, estetyki i postępu: precz z mieszkaniami bez łazienek!

M. H. SZPYRKOWNA.

Z E S Z T U K I

ILUSTRACJE BIESIADY

O OBRAZACH GROTTGERA.

Wieszczowie romantyczni czarem swej poezji wywołali objawy piękna i w sztukach plastycznych. Zjawił się Grottger. Pieśń Polska Mickiewicza, Słowackiego i innych dała mu nastroje—nastroje najwznioślejsze.

Urodził się 8 Listopada 1837 r. w Małopolsce w Ottyniowicach z ojca zdolnego malarza Jana Józefa, z matki na wpół Węgierki. Młody Artur od najmłodszych lat garnał się do sztuki. Pod wytrawnym kierunkiem ojca z zamiłowaniem uczył się rysować poprawnie. Kształcił się później w Krakowie, Wiedniu, Monachjum i ostatecznie dość długo w Paryżu. Jedną z najważniejszych zdobyczy, jaką osiągnął w tych studjach, była umiejętność zupełnej harmonji. Antoniewicz

mówi, że Grottger chciał zawsze tworzyć materiałem doskonałym, tym, co przemawia, wtóruje—wraża. Rysunki są wtedy niedoszłą muzyką. Jego twórczość stała się szczytem doskonałej symfonji. Prawda za siebie przemawia, bez dodatków i ozdób niepotrzebnych. Niczego niema dla efektu. Stał się delegatem duszy polskiej, jej poetą w sztuce plastycznej. Rysunek jego zawsze poprawny, w układzie nie zna przesady. Potrafi wyrazić piękno obok cechy charakterystycznej. Wzbudza więc podziw, którego nie szukał. Zdobywa go swą szczerością i prostotą.

Portrety jego zawsze zaciekały, bo nie były to nigdy portrety oklepane, „wzorowe“. W każdym osobniku odkrywał coś interesującego i charakterystycznego.

To samo dotyczy studjów portretowych. Jest naprzykład studjum pod tytułem „Naręczona“, (odtworzone w trze-

cim numerze Biesiady). Moc ma czarującą ten obraz. Oczy młoda dziewczyna spuściła, ale nie w bezmyślnej zadumie — skupione uczucie rozproszyłoby świat otaczający, więc dlatego nie chce nań patrzeć. Tem więcej się skupia w swym własnym świecie wewnętrznym. W nim jej dobrze i miło — myśli o ukochanym, snuje nić życia nowego. Temi myślami ogarnięta i przejęta jest całkowicie.

Słowa wieszczów romantycznych pełnić się zaczęły i w czyn się mieniły. Warszawa w r. 1860 i 1861 dała świadectwo idei narodowej. Grottger do głębi i z całą swą żywością przejął się tą epoką.

Po kościołach szły ludu głosy „Ojczyznę wolną oddaj nam Panie“ śpiewały rzesze, ufne że sprawiedliwość Boża wróci niepodległość dawną i świetność. Wrogowie, nawet modłów nie dopuszczali. Z rządowego rozkazu wkroczyli do świątyni, korno, zbrojni kozacy...

Grottger nam te sceny, których była widownią Warszawa, później Polska i Litwa, przedstawił na świetnych swych kartonach tylko samą kredką czarną i białą. Ten wybór materiału nie był przypadkowy. Tym sposobem Grottger uduchowiał swe dzieła, w jednej barwie skupiając całą siłę, oddając całą nateżoną moc ducha. Kreśli więc tym prostym sposobem obrazy niezrównane.

Z cyklu „Warszawy“ mamy tu przed oczyma, jedno-barwny obraz, przedstawiający — zamknięcie kościołów.

Gdy żołnierze rosyjscy zbezczeszcili świątynię, brutalnie

ją naszedłszy, wówczas władze kościelne zamknęły kościoły na znak uroczystego protestu.

Scena przedstawia się bardzo prosto. Przy ryglowanych drzwiach kościoła stoi dwóch ludzi. Zakonnik, zamykający świątynię zajęty jest na pozór tylko tym czynem — a jednak z całej energicznej postaci i z twarzy wieje siła woli, ukrywająca głębi bólu. Drugi z boku młody ksiądz patrzy w dal, z pogardą najeżdźcom, z wolą stanowczej walki i z wiarą w zwycięstwo.

Aktorskiej sztuki tu niema. Te wizerunki pełne godności nie wywołują sensacji, one do głębi duszy wnikają i stają się dla nas świadectwami dziejowymi.

Drugi obraz z tegoż cyklu „Warszawa“ przedstawia pierwszą ofiarę walki. Na rogu ulicy młody mieszczanin warszawski, pierwszym strzałem ugodzony, siania się, o mur przypiera plecami. W pędzie spada mu rogatywka, ręką dotyka czoła, instynktownie pogładając przymglonemi oczyma, skąd strzał niespodziany. Drugą ręką o mur bezwiednie szuka oparcia. Nie broń z ręki wypuścił, lecz książkę do nabożeństwa... Niezwykle bowiem walczył z przemocą ówczesny lud stolicy: nabożeństwem.

Grottger potrafił nam pokazać całą potęgę ducha, posługując się niebywale prostymi środkami techniki malarzkiej. Rysunek jednobarwny. Jedna postać tylko przemawia. A jednak im więcej się w obraz wpatrujemy, tem więcej nas przejmuje dramat chwili.

MARJAZ I RZEZLZIECKICH WALEWSKA

POWIEŚĆ — POEZJE — OPOWIADANIA.

M. H. SZPYRKÓWNA.

DJABLICZKA CÓRKA DJABLICY.

CIĄG DAJSZY.

Od tej choroby małej zaczął się początek końca. Czy nie dziwną jest rzeczą, że sprawy ludzkie los nieraz obróci tak, że dzieje się wszystko odwrotnie, niżby się zdawało, że się dziać powinno? Powiem prawdę, że każdy z nas wtedy, patrząc na małą, jak się rzucała w malignie z nieprzytomnemi oczami, kiwał głową i myślał:

— Ano, skończy się przynajmniej raz, i daj jej Boże, aby jaknajrychlej!

Bo też ciężko było wszystkim nad miarę i żyliśmy, jak pod gradową chmurą. Gospodarz nie kazał wołać lekarza. Prawda, że najbliższy mieszkał w mieście o trzydzieści pięć kilometrów lasami. Na to jeszcze, przyszły dzikie zawieje: drwali zasypywało powądołach i konie padały. Aleć zawsze, dziecko umierało! Widzieliśmy to dobrze i gryzło nas sumienie, ale co było robić? Gospodarz tak strasznie spojrzął na stróża, który zaofiarował się pójść na nartach do miasta, że słowa nam wszystkim, cośmy go mieli poprzeć w przemowie, uwięzły w gardle. Och, istotnie można rzec, że dwóch szatanów walczyło o to dziec-

ko: żyjący ojciec i zmarła matka. I cóż tu mówić? Kobieta jak zawsze zwyciężyła!

Jego nie wzruszało nic: zrobił się jakby z głazu, w którym gorzał zły ogień. Jego łóżko stało pod jedną ścianą w saloniku, pod portretem; a dziewczynki — naprzeciwko; nie można było inaczej, bo z powodu pożaru dawna sypialnia nie była mieszkalna. Przychodził wieczór, rzucał zaśnieżoną czapkę na stół i spoglądał na małą; nie poznawała go; dyszała ciężko odwrócona do ściany, czasem jęczała i wołała pić. Zdawało się, że za każdym razem tylko bada, czy jeszcze długo pociągnie? Potem meł w zębach przekleństwo i zawałał się spać. Jednak rzecz dziwna! Nie pił. Jak-gdyby go odrzuciło od wódki. Starucha, która po domowemu doglądała małej i dawała jej w nocy jakieś zioła opowiadała, że leżał na łóżku najczęściej ubrany i patrzył w sufit. Kiedyś znów obudziła go sama, bo rzucał się we śnie i rzeził. Zmienił się nawet na wyglądzie i stracił apetyt. Zdawało się, że jakaś gorączka go trawi, ale gdyśmy to rozważali, pastuch powiedział słusznie:

— Nie ze zmartwienia tak zczerniał, nie bój się! Po prostu, nie może się doczekać, żeby mała już doszła. Ho ho! Dość spojrzeć, jakim wilczem ślepiem rzuca na tę biedotę za każdym razem wracając! I czego się włóczy po lesie, skoro nawet drzewa teraz nie rąbią? A niech mała umrze, to, jak Bóg w niebie... będą tu się działy takie rzeczy, że wolę przedtem pójść precz!

I podobnież czuł każdy z nas. Jak tu patrzeć na dziecko, które pod okiem własnego ojca umiera bez ratunku?... Było nijako i markotno, jakgdyby człowiek co zawinił. A cożemy mogli, pytam? Nic! Jego było prawo i wola. A kiedy sama ruda Marja zająknęła się o leczeniu, łysnął na nią z podełba, roześmiał się jak puszczyk i powiedział:

— Twój interes, ha?... Wyliże się to wilcze szczecię, nie bój się! Jeszcze nie było tego, żeby djablica swemu djablęciu zaszkodziła! A jeśli... tem ci gorzej! Niech zdycha!

Ale myśmy czuli inaczej, i jakoś na ósmy dzień choroby—zrobiliśmy, co nam sumienie kazało. Pastuch wziął narty i psa, i w nocy poszedł na probostwo. Kazał mi, żeby powiedział wszystko, co i jak, i niech tam już potem światlejsi radzą: byle nasze sumienie było czyste. Liczyliśmy, że z probostwa bądź przyjadą z lekami, bądź posłają po doktora do miasta. Alboż to nie wiedzieli, co się już u nas przedtem działo?

I najwyższy był czas, gdyż zdawało się, że mała dochodzi. Zrywała się i chciała gdzieś biec; płakała strasznie i wołała matki; wreszcie wyczerpała się zupełnie i leżała jak nieżywa. Pies owczarski, który ją lubił i często, niczem człowiek, przychodził zajrzeć do saloniku: zbliżył się do łóżka, obwąchał ją i podkuliwszy ogon, pobiegł precz. Był to znak zły! Gospodarz od rana poszedł do drewnutni i nie wiedząc po co łupał na deski sosnowe trzony. Zdawało się, że byłby rozsiekał cały świat! Śnieg tego dnia walił gęsto jak chmura i wdierał się z wiatrem w otwarte drzwi drewnutni, a on stał bez kożuszka, w samej kożuzi, i tylko topór spadał: — Rraz! Rraz!...

Niewiedzieć czemu, czuliśmy wszyscy, że dziś przez ten dom przejdzie śmierć.—I dobrześmy czuli, ale jakże ślepy jest człowiek w swych przypuszczeniach i sądach! — Stara przygotowała gromnicę i świeconą wodę; stąpaliśmy na palcach.

Śnieg walił coraz gęściej i jakby głużył świat. Siedzieliśmy w kuchni kołem, bo i co było robić w taki psi czas? Tylko razy gospodarskiego topora dudniły głucho za ścianą, i przy naszym usposobieniu zdawało się, że to zbijają właśnie trumnę. Pies pod drewnutnią głucho wyl.

Nagle usłyszeliśmy dzwonki: ktoś zajechał! W taką zamięć i o tym czasie? Już zmierzchało. Porwali się wszyscy, a do kuchni tymczasem wszedł bogato ubrany w futro pan w złotych binoklach. Doktor!... Nareszcie dziaaliśmy coś dla maleńkiej. Ulżyło nam jakoś wszystkim ogromnie, a on zapytał, przecierając zamglone szkła:

— Czy tu jest ta chora dziewczynka?

Za chwilę już małą oglądał i opukiwał. Było tego nawet niebardzo długo. Obejrzał ją tylko powierzchownie i odrazu, krótko powiedział:

— Tyfus.

Nie można rzec, żeby się nam zrobiło przyjemnie, ale Bóg nad wszystkimi! Co ma wisieć, nie utonie.— Potem dopiero kazał sobie naszykować wody, robił jakieś płukanki, lekarstwa, specyfiki. Ruda Marja mu pomagała, bo najobrotniejsza. Parę razy się obejrzał, jakgdyby szukając kogoś. Wreszcie zwrócił się wręcz do starej:

— Proszę poprosić matki tej małej.

Ph! To było sobie dobre. Odchrząknąłem i kłaniając się zlekka — to był taki godny i poważny pan! — powiedziałem:

— Jest tylko ojciec, proszę wielmożności. Ale właśnie...

Zakrzusilem się, bo i jakże tu było gadać? Co? że ojciecby ją dodusił, gdyby mógł?...

Na szczęście zdziwił się bardzo moją odpowiedzią i to uwolniło mnie od wyjaśnień.

— Tylko ojciec? Któż jest więc ta pani, która była u mnie? Zdawało mi się, że właśnie matka?

— Matka umarła, proszę pana konsyljarza, już ładnie kilka miesięcy. To pewnie była pani z probostwa, ale mieszka o pięć kilometrów, i to leśnej drogi.

Nie pytał już o nic i robił kompresy dalej. Wreszcie skończył z małą, umył ręce i nakrapiając je czemś pachnącem, spytał:

— Gdzie jest drugi chory?

Spojrzelśmy po sobie, bo nie było drugiego chorego, a doktor, patrząc na nasze miny, dodał:

— Pani, która u mnie w tej sprawie była, mówiła, że jest chora dziewczynka i mężczyzna.

Roztworzyłem właśnie usta, aby wyjaśnić, że pewnie się pomyliła — gdy wtem drzwi od kuchni otwarły się w całą szerokość i wraz z zawieją wpadła w nie jak huragan ruda Marja z obłąkanymi oczami, wołając nieprzytomnie:

— Ratujcie! Ratujcie! Gospodarz! Siekiera! Krew!.. Krew!..

Myśleliśmy, że ją uderzył siekiera, pokazało się jednak inaczej. Pastuch i starucha wnosili go właśnie w drzwi, a krew leciała mu z czoła ciurkiem, zalepiając brwi, oczy, całą twarz i znacząc plamami nawiany u progu śnieg na czerwono. Stękał ciężko i głucho, jak ranny tur, a oczy miał obłąkane. Jak się to stało — nie wiedzieliśmy i nie dowiedzieliśmy się już nigdy. Znalazł go pastuch, wszedłszy po podpałkę: leżał na wznak z raną w głowie, a siekiera upadła daleko poza nim. Wyglądało, że uderzył się sam, nie obliczywszy rozmachu, trzonem topora w głowę i odrazu zalała go krew, a topór przeleciał przez głowę.

I oto niespodzianie w kwadrans po pytaniu doktora: — Gdzie jest drugi chory?... — leżał już na przeciwko małej na drugim łóżku pod ścianą z obandażowaną głową, na której płótno wciąż się barwiło czerwono. A doktor, obejrawszy go po opatrunku, odłożył swoje instrumenta i myjąc znowu ręce, rzekł poraz drugi:

— Tyfus. Musiał już mieć gorączkę od paru dni. Bedzie ciężko.

Jakoteż było ciężko. Mocny był i wielki jak zubr,

A. GROTTGER — Z CYKLU: WARSZAWA.



ZAMYKANIE KOŚCIOŁÓW.



NA PLACU ZAMKOWYM.

ale skoro się raz zwałił, wzięło go odrazu. Do wieczora rzucał się i miotał, bełkocąc niezrozumiałe wyrazy, zrywając się i straszliwie przeklinając najbardziej niesłychanymi przekleństwami. Mała, po miksturze, którą jej doktor dał, spała i dyszała łzej. On sam — mówię o lekarzu — siedział przy stole obok, w jadalni i pisał. Później dowiedzieliśmy się, że był to sławny profesor, który zwyczajnych ludzi już nie leczył, tylko badał nadzwyczajne wypadki. Wtedyśmy nie wiedzieli nic.

Około ósmej zażądał herbaty. Potem poszedł do saloniku. Wrócił za chwilę i bębniąc palcami po stole, rzekł:

— Więc tej pani z probostwa zobaczyć nie można?

— Chyba żeby posłać jutro? Po nocy nie ruszy nikt.

— Jutro muszę być na konsyljum, o dzień drogi koleją. Wyjadę nad ranem, proszę mi tymczasem opowiedzieć o dziewczynce i o jej chorobie wszystko, co wiecie.

Przysiadłem się na zydlu pod ścianą i — co tu kryć? — opowiedziałem, com wiedział. Patrzył na mnie ponad okularami i kiwał co czas jakiś głową. Szczególnie! Miałem wrażenie, mówiąc z nim, że wszystko wie, zna i rozumie. Dziwnie mądre i wiedzące za temi szklami miał oczy!

Kiedyśmy skończyli, milczał czas jakiś, a potem powiedział w zamyśleniu:

— Ciekawe. Bardzo ciekawe! Najwidoczniej zachodzi wypadek — tu wymienił jakąś łacińską nazwę, widocznie choroby. — Właśnie te wypadki mam teraz pod obserwacją.

K. A. CZYŻOWSKI.

O Janku złodzieju i księdzu proboszczu co go spowiadał.

Opowieść niby góralska.

Szedł Janek przez wieś i bardzo się martwił. Wiedzieli przecież wszyscy, że umiał kraść, jak nikt inny i wszyscy przed nim się strzegli.

A teraz co? W oczy mu się śmieją i nikt go się nie boi, bo wiadomo, był u spowiedzi u księdza proboszcza i tak się skruszył, tak za grzechy swoje żałował, że księdzu publicznie przyobiegał, że już więcej kraść nie będzie.

Hej, przyrzec łatwo, ale ciężko dotrzymać obietnicy. A musi, bo Janek honorny jest chłop. A tu ręce tak swędzą, że chyba je poucinać i w domu na kołku powiesić, czy co?

Tak to się Janek martwił, gdy szedł przez wieś i widział, że ludzie już się go nie boją, ale nawet śmieją mu się w oczy.

Wiadomo, wiedzą, że honorny i obietnicę dotrzyma.

A akurat przechodził koło plebanji.

Wtem jakiś zapach podrażnił jego nozdrza.

Hej, Janek na wszystkim się zna. Odrazu poznał, że u księdza w kuchni świnia się gotuje. Szynki i kiełbasy, a może i sam schab z kapustą.

Et, zobaczyć nie zaszkodzi.

I wszedł Janek do plebańskiej kuchni, a że nikt go w niej nie zastał, obejrzał się tędy i owędy.

— He, nie moja prawda? Świnia jak byk w kapuście się gotuje, a nikogo przy niej: chyba jak se trochę podjem, to to jeszcze nie kradzież.

I zanurzył Janek łapę w garnku i uświadczył sobie kawał schabu. A że był głodny, uświadczył sobie jeszcze kawał. A że gospodyni nie nadchodziła jakoś, no to jeszcze i jeszcze po kawale uświadczył sobie, — a jeden taki nie bardzo najmniejszy, schował za pazuchę i wyszedł.

I zrobiło mu się luto. Skradł, czy nie skradł?

A że akurat przechodził koło kościoła, pomyślał sobie:

— Chyba samego Boga o to spytam. Jak mi powie żem skradł, to tego schaba z za pazuchy odniosę, a za tamte — da mi Bóg dobry łaskę, to odchoruję.

I wszedł Janek do kościoła.

Idzie, patrzy, przed ołtarzem Matki Boskiej, strasznie piękna leży czapka futrzana.

Przykląkł Janek i modli się o prawdę Bożą i tak myśli sobie, że sam chyba Pan Bóg czapkę mu futrzaną zsyła, bo wiadomo zima nie daleko, a on ta swoją łaskę u Pana Boga ma.

Oj ma, bo czemużby czapka sama przed nim leżała, kiedy nikogo niema dokoła.

Ale aby Bóg nie pomyślał, że on się cudem przed zimą pochwali, to czapkę schował koło schaba za pazuchę.

Ino że się przytem dokoła dobrze obejrzał.

A jak się obejrzał, to zobaczył, że w konfesjonałe ksiądz proboszcz siedzi i spowiada.

— E, — myśli Janek. — Może to czapka księdzowa? Trzebaby iakoś delikatnie rozpytać.

Idzie tedy Janek do konfesjonału i klęka przed kratką. Grzech nie grzech, a o tego schaba też popyta. Jak grzech, no to się tak odrazu wypowiada i przeprosi Pana Boga i księdza też, aby wiedzieli, że Janek swój honor ma.

Klęka Janek przed kratką i powiada:

— Ja proszę księdza, u księdza proboszcza świnie z kapusty wypędziłem.

— No to bardzo ładnie zrobił, dziękuję ci Janku. Z tego to się nie masz co spowiadać.

— A przed Matką Boską, — ciągnie dalej Janek, — to ja czapkę zdjąłem.

— Toż to przecież twój obowiązek. Chrześcijańcinem jesteś, a nie żydem przecież.

„A co? Nie mówiłem tego sam sobie?“ Myśli sobie Janek po cichu, ale widząc, że przed księdzem leży piękny zegarek ze szczerego złota, dał się skusić pokusie, bo pomyślał sobie, jakem już przy spowiedzi, to bodaj jeden grzech mieć muszę, inaczej wstyd przed Bogiem i przed księdzem.

A nim skończył tak myśleć, już miał zegarek w kieszeni i powiada do kraty:

— Ale ja ukradłem znowu, proszę księdza dobrodzieja.

— Cóżes znów ukradł?

— A zegarek.

— O, to bardzo nie ładnie. Oddajże temu, coś mu go ukradł.

— No to proszę księdza proboszcza.

I Janek wyciąga zegarek, ale tak pomaluśku, bo może ksiądz się rozmyśli — i podaje go księdzu.

Ale ksiądz powiada:

Ależ nie mnie Janku, ale temu, komuś go skradł.

— E, to ja go już księdzu oddam.

— Nie Janku, musisz go oddać temu, komuś go skradł. Ja go nie wezmę.

— Temu com go skradł, — powiada Janek — ja go już oddawałem, ale on nie chciał wziąć.

— A, jak tak, — to schowaj go sobie, to widać darowali ci go.

— Dziękuję księżu proboszczu.

— Tylko tak dalej Janku postępuj, a będzie jeszcze z ciebie człowiek.

I ksiądz się obrócił do drugiej kraty, bo tam już ktoś czekał, a Janek poszedł do domu i już się nie martwił, bo przecie sam ksiądz mu powiedział to samo, co i on sobie myślał.

A ksiądz proboszcz dziwił się potem bardzo i był nie najlepszy, że bez zegarka i czapki musiał wracać do domu, a gospodyni samej kapusty podała mu na obiad.

Ale czy to Janka wina?

Przecie on honornie postąpił. Przynajmniej jemu się tak zdawało, jeśli wam inaczej.

Robinson Capryjski.

DOKOŃCZENIE.

Dzień gaś!... W oddali na morzu widać było dwie zapóźnione barki. Ściągnąłem jedyną swoją szatę—kąpielowe spodenki, rozpostarłem i zacząłem machać, rycząc dziko. Piękny musiał to być widok. Byłem „niby posąg człowieka na posągu świata”.

Barki były tak daleko, że roztopiały się w szybko idących ciemnościach. Nie mogłem widzieć, czy zbliżają się, czy też się oddalają. Było ciemno...

Spodenki były jeszcze wilgotne od wody morskiej. Oświeżyłem twarz. Usiadłem. Dał lekki wiatr. Po szczytach szło ciche wołanie przepiórek — biednych jak i ja rozbiteków, ciągnących teraz we wrześniu przez morza do Afryki dalekiej i spadających późnym wieczorem na spoczynek na skalistym Capri, gdzie czekają na nie przemyślnie zachłanne sieci.

Pomyślałem, że jednak ja nie przepiórka i że przez jedną noc zjedzą mnie moskity. Przytem szczyt był tak wązki, że wymagał ciągłej czujności.

Zsuwać się zacząłem niżej. Znalazłem coś w rodzaju parszywej łączki. Siadłem. I siedzę. Przypomniałem sobie jak się kończyły zwykłe nasze sprzeczki „Co tam robisz, Zosiu” — pytam ja, mąż, kiedy czuję, że już pytać można. — Siedzę sobie. — Cóż — siedzieć „sobie”, to jest też zajęcie godne, tak jak i każde inne, ale nie — siedzieć goło na cyplu 265 metrów (jakem potem na mapie sprawdził) i dać się ciąć przez „z a n z a r y” (moskity).

Na szczęście była pełnia i wcześniej ukazał się księżyc. Nagle zrobiło się bardzo jasno. W obawie, że chmury go przesłonią, postanowiłem skorzystać ze światła i szybkim tempem zlaźić. Licząc się z tem, że nie będę miał teraz czasu oczyszczać gałązek z cierni, postanowiłem użyć moich spodenek kąpielowych jako rękawiczek. Włożyłem więc je tymczasem na szyję. Bronzowa naga postać z czarną obrozą na szyi, skacząca z głazu na głaz, musiała, zaiste, fantastycznie wyglądać.

Ten bieg, ten spadek w dół w cieniach nocy, przypominał, zaiste, jakiś sabat z Łysej Góry. Żałowałem, że nie mam talentów górskiego barana, który skacze w przepaść prosto na łeb i odbija się na potężnych rogach, jak na resorach. W braku tego urządzenia musiałem nadpłacać nie tyle łbem, ile inną częścią ciała, dotąd w cieniu jedynej garderoby mojej biorącą bierny raczej udział w całej epopei. Cieszyłem się, że schodząc, uzyskałem, oprócz dwu nóg i dwu rąk jeszcze piąty punkt zaczepienia, ale też po pewnym czasie ta najbardziej optymistyczna część ciała przedstawiała kotlet po tatarsku.

Zzajany i wydzierający się w dół z zaciekłością, w pewnej chwili, a było to już w połowie drogi, ujrzałem na dole, tuż przy brzegu, kontur łodzi. Zatrzymałem się i wydałem ryk. Sylwetka ludzka w łodzi zamachała uspakajająco ręką. Znaczący — zeka. Vivat! Tem energiczniejsze dawałem w dół susy. Trwało to długo. Rybak czekał.

Wreszcie przybyłem nad to miejsce, gdzie ściana skalna spadała w dół aż do brzegu. Czytelnik pamięta, że drapiąc się po niej trzy piętra w górę, zacząłem swoje wspinanie się.

Wszelkie teraz chodzenie, krażenie, mające na celu wyszukanie zejścia, nie dały rezultatu. Czas szedł. Człowiek w łodzi drobnymi poruszeniami wiosła promenował tu i owdzie. Niecierpliwił się. Kiedy więc upłynęło z pół godziny na klepaniu piętą skały i próżne zesuwanie to jednej, to drugiej łydki nad przepaść, stanąłem, rozłożyłem ręce i rzekłem w pięknej swojej włoszczyźnie: „n o n p o s s o”. Miało to oznaczać: „Szanowny Panie! W istocie przykro mi, że pan dla mej mizernej osoby traci swój cenny czas. Radbym zejść, ale nie mogę. Raczy pan jednak cierpliwie wybaczyć jeszcze pewną zwłokę, aż coś wykombinuję”.

Miało to być aż tyle. Tymczasem tajemniczy pan nie poznał się na wersalskich manierach gołego człowieka. Widać zadecydował, że skoro sam mówię, że nie mogę, to on tu nic nie poradzi. Mach — mach — mach wiosłem — i pojechał. Łódź oddalała się, płynąc wzdłuż brzegu, a jej właściciel nie zwracał żadnej uwagi na moje wrzaski.

Straszna rozpacz targnęła mną. Zgięłem dwa giętkie i wyniosłe drzewka czy krzaki, rosnące nad brzegiem skały. Wziąłem ich szczyty w kupę i machałem kozła w dół.

Teraz więc wisiałem na wysokości dwudziestu metrów i wywijałem nogami w próżni. Wreszcie prawa stopa namacała występ, który dał oparcie. Dalej znalazł się krzaczek, znów występ, znów coś nieokreślonego... Czebiając się tego wszystkiego „psim śwędem”, jakoś skulgnąłem się na ziemię, obrywając się z ostatnich paru metrów.

Uf! — byłem więc znów na ziemi nad morzem. Nie tracąc czasu pobiegłem nad wodę. „Barca barca”!... Na te żarliwe wołania nie odpowiedział nikt.

Wzruszyłem filozoficznie ramionami. Byłem pewny, że przecież ów wioslarz nie mógłby tak zostawić samotnego człowieka nocą na skale. Czemu jednak nie krzyknął, nie powiedział nic? Może myślał, że to zdruzony s p l e m a n forestier (cudzoziemiec) łązi sobie dobrowolnie po skałach, mając gdzieś ukrytą łódeczkę? — Nie umiałem sobie na to odpowiedzieć.

Tymczasem jednak należało coś zrobić ze sobą. Byłem okryty rześystym potem. Całe ciało gorzało. Nośi były zupełnie zalane krwią i czerwone. Reszta ciała miała liczne krychy i przecięcia, a ponieważ krwi przez cały czas nie ocierałem, tworzyła ona na ciele zaskrzepłe lub świeżo broczące place i frędzle.

U nóg szumiało świeże, ożywcze morze. Praśnienie zanurzenia się w chłodnej wodzie górowało chyba nawet nad pragnieniem napicia się wody. Dla próby włożyłem w wodę prawą, mniej poranioną rękę. Piękający ból kazał mi ją wycofać i wyrzec się kąpieli.

Naciągnąłem więc moje spodenki i siadłem filozoficznie na kamieniu. Z morza dał od strony Afryki duży, posiroccowy wiatr. W noc taką ludzie po pensjonatach południowej strony nie śpią. Przewracają się po prześcieradłach, nawilgłych od ich potu.

Godziny mijały. Podniecenie fizyczne opadło. Każde poruszenie się sprawiało mi ból. Nie mogłem się poruszyć. Tkwiłem nieruchomo na swoim kamieniu, bądź próbowałem stać na szeroko rozstawionych nogach. Z tem wszystkim było mi dobrze. Inteligentna miejskiego bola zawsze, wszędzie, nadewszystko nerwy. Prażą one całe ciało, łupią w skroniach, macą w głowie. Nic z tego teraz nie było. Jakby kto ostrym nożem przeciął naprężoną sieć nerwów, wpijając się w ciało. Opadła. Mózg pracował tak jasno, tak cudownie. Serce biło tak rozkosznie i rytmicznie. Założyłbym się też, że słyszę krwi warkot, jak idzie po żyłach.

W mieście siedzi obolały, umęczony inteligent w fotelu przy biurku i kwaśny, wściekły jego organizm z nienawiścią obsługuje organ główny—głowę. Głowa—to organ centralny, obcy ciału, wrogi. Jest grymasna, żądająca ciągłej obsługi i poświęceń od reszty ciała, gderliwa i zrzedząca, nielogiczna, wiele mniej logiczna, niż moje serce, kiszki, płuca i wątroba. A w takiej oto chwili nocą nad morzem następuje zbratanie całego ciała. Mózg myśli równo, w takt napływu każdej nowej fali krwi, którą mu serce podaje. I ciało całe, rozpalone ruchem, obite o skały, krwawiące, bucha zwyciężkim rytmem.

Rzecz prosta, cała ta filozofja jest najprzyjemniejsza „e x p o s t”. Wtedy skwitowałbym z tego całego patetycznego „rytmu ciała” za dzban wody z lodem i łożko.

Tymczasem całe ciało swędzić zaczęło strasznie. Wiedziałem, co to jest... Moskity! Małe, czarne, niewidoczne, tem od komarów gorsze, że ciche, dziwnie złośliwe.

Tak przeszła noc. Jeśli kto myśli, że będę tu pisał o wschodzie słońca, to się myli. Byłem—nie wiem, czy więcej wściekły, czy więcej znużony. Myślałem o słońcu z pasją, że jest to największy kabotyn świata wraz z tymi jego wschodami i zachodami.

Szedł dzień. Jasność rozpalala się szybko. Morze było puste. Siedziałem na swoim głazie i pocieszałem się, że to nic takiego, bo przecież noc całą nieraz ludzie jadą w wagonie, a tu przynajmniej nie duszno. Rany mnie nie bolały, tylko muskuły. Za to straszne swędzenie ogarniało całe ciało. Spojrzałem na ramienna. Były wyprawione na jaszczur przez niezliczone ugryzienia.

W trakcie tych moich medytacyj z za zakrętu ukazało się cichutko maleńkie sandolino, szybujące po wodzie. Herr Stinnes! — co za traf, co za szczęście.

Syn Hugona Stinnesa, z którym niejednokrotnie wyruszyliśmy o świcie na wycieczki w morze, wypłynął i dziś wczesnym rankiem wedle swego zwyczaju.

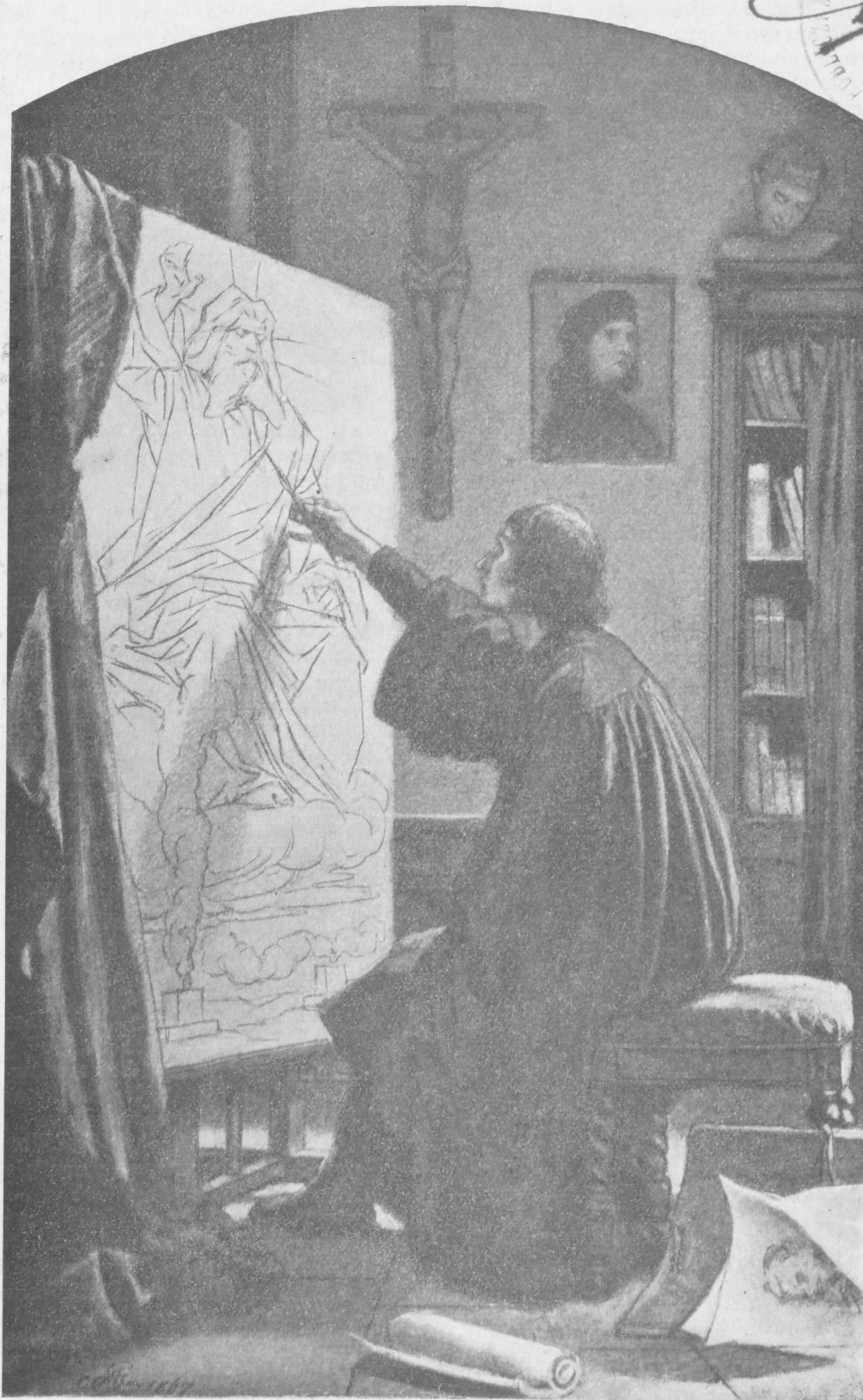
Pocziwy Niemiec jadł wprawdzie tylko jajka, płacąc jednak za pełne utrzymanie w swoim „Quisisana”, pozatem jednak był dobry kompan i pocziwy z kośćmi. Gadał po francusku pozał się Boże, przecież uważał sobie za obowiązek nawet na moje inwokacje niemieckie odpowiadać w tym języku.

Pan Stinnes przestraszył się istotnie i wybałuszył na mnie oczy. Rychło jednak oprzytomniał, przybił do brzegu, wciągnął swoje sandolino i znalazł się przy mnie. Opowiedziałem dzieje swojej odysei pokrótce, w ciągu którego to czasu pocziwy Niemiec ciągle powtarzał „p a s e n t e n d u, p a s e n t e n d u” (co zapewne miało oznaczać u n e r h ö r t) i podnosił to jedną moją nogę, to drugą, jakby chciał się przekonać, czy zawiasy nie zardzewiały w kolanach.

Wytłomaczyłem mu, gdzie jest moje sandolino i z trudem i sapaniem wielkim przyciągnął je nibawem, poczem raz jeszcze przejechał po pozostawione wiosło. Wreszcie narządaliśmy się obaj i oto znów płynąłem sandolinem jak gdyby nigdy nic. W dwadzieścia minut byłem u siebie. Giovanni, Giovanniowa i ich siedmioro bombiniąt wysypali się na moje spotkanie. Pytaniem nie było końca. Zbytek je wszakże lakonicznem ale kategoriycznym: b i b e r e — m a n g i a r e — l a v a r r e — d o r m i r e. Po chwili wchłonałem już litr czerwonego, pół litra białego wina, karafkę wody i miskę lodu. Zabierałem się teraz statecznie do jedzenia, świat jednak nagle wydał mi się bardzo różowy i odnalazłem elokwencję. Ucieszony Giovanni przywołał więc natychmiast signora Bussola - Rossi, właściciela sąsiedniej willi, szczytającego się tem, że mówi ze mną po francusku. Pocziwy Rossi, ujrawszy moją rękę, naszpilkowaną szpilkami jeża, wytłomaczył, że trzeba je natychmiast wydobywać, bo „ils seront marchirent la dedan”. Nie wiem, co to miało znaczyć, ale poddałem się operacji. Giovanni przyniósł gorącej oliwy, igły i świecę. Rossi z Giovanniną zajęli się wyciąganiem igieł. Ja zaś jadłem i łąłem, jadłem i łąłem, aż dech zapierało poważnemu panu Bussola, litościwej Giovanniowej, statecznemu Giovanniemu i siedmiorgu Giovanniniąt.

Poczem się wyspałem, poczem trzy dni nie mogłem chodzić. Poczem wróciłem do Polski, gdzie niema wina i fantazja „jako olej słonecznikowy przyciężki na dnie wędełka siedzi i nie masz, ktoby ją dźwignął”, jakby powiedział pan Zagłoba. W tym tedy upadku fantazji napisałem czystą prawdę, gwoli pouczeniu czytelnika. że pierwszy Robinson Capryjski, we wrześniu 1924 r. zdarzony, był Polak i ten oto raptularz swych perturbacyj na pamiątkę współczesnym i potomnym zostawił.

A. GROTTGER — Z CYKLU: WOJNA.



W PRACOWNI ARTYSTY.

LUDZKOŚCI! RODZIE KAINA!

PO SZEROKIM ŚWIECIE

W ODRADZAJĄCEJ SIĘ TURCJI.

IV.

Do późna w nocy u Maxima na Perze ludno i gwarno. Po dniu upalnym miło jest posiedzieć w ogródku przy czarnej kawie i słuchać śpiewu i muzyki. Śpiew niezły, muzyka gorsza nieco.

Maxim—to nocny kabaret rosyjski. Mały ogródek, niezabudowany plac między domami na urwisem zboczu góry z dalekim widokiem na Bosfor. W ogródku jest boisko do tańczenia i mała scenka.

Przyszedliśmy tu bardzo późno na szklanek wody i małą filiżankę kawy po turecku. Piękna dama o długich, zmęczonych oczach i długich białych rękach przyniosła nam mikroskopijne porcyjki kawy, a mały piccolo we fraku dostarczył wody sodowej.

Na estradzie niesłychanie zmodernizowany Don-Kichot topił w dużym, ciężkim puharze wzdgardę pięknej kochanki i twierdził, że świat jest piękny. A kochanka, która nim wzdgardziła, piękna dama w popielatych muślinach, tuż pod samą estradą oddawała się zabawie tanecznej ze złotowłosym paziem.

Więc naprawdę, stary kochany Don-Kichocie świat jest piękny? Patrz, wyfraczeni przyjaciele twoi, którzy tak samo, jak ty, uciekli z Rosji, udają, że nie widzą, co robią ich żony i siostry przy sąsiednim stoliku.

A przy sąsiednim stoliku rozmawiano po polsku i rosyjsku.

Posłuchaj, Don-Kichocie!

Siedzieliśmy, milcząc. Każdy z nas z wieczornej wycieczki po Bosforze przyniósł z sobą coś do przemyślenia. Każdy miał jakąś sprawę osobistą, z której nie chciał zwierzać się kolegom. I dobrze nam było w tym ogródku zacisznym. Udzielał nam się optymizm Don-Kichota.

Tak, świat jest piękny...

Przesuwałem paciorki kupionego w Aji Sofji różańca i myślałem o tem, że świat jest piękny.

Przy stoliku sąsiednim toczyła się polsko-rosyjska rozmowa. Wesoła młodzież polska pocieszała, jak umiała, dwie emigrantki rosyjskie.

Don-Kichot śpiewał.

Tu był przed laty nasz Wielki emigrant Adam Mickiewicz. Przybył tu w celu tworzenia legjonów i tu umarł.

Na ulicy, od jego wielkiego imienia Adamsukak nazwanej, w tem właśnie miejscu, gdzie umarł, stoi jakaś licha rudera z pamiątkową tablicą na froncie. Na tablicy taki niezręczny napis:

„Na pamiątkę postawiony ten dom na tem miejscu, gdzie 28 listopada 1855 roku umarł Adam Mickiewicz, poete Polonais”.

Nie inteligent, lecz widocznie zagnany tu zmienym losem jakiś rzemieślnik polski układał ten napis

przejęty czcigłównie dla Wielkiego Tułacza, którego prawdopodobnie nawet nie rozumiał.

Zrobiło mi się smutno, ale smutek mój wkrótce rozproszył lekkomyślny Don-Kichot, który zszedł ze sceny i zaczął tańczyć z tą damą, która przed chwilą podawała nam kawę. Białe jej długie ręce i w tańcu były pełne wyrazu. Miały coś w sobie z uśmiechem młodych Turczynek—wołały i odpychały zarazem.

Do stolika naszego przysiadł się kolega Turek. Był to jeden z dziennikarzy tureckich, którego poznałem na kawie popołudniowej u posła naszego pana ministra Romana Knolla.

Ten odrazu przerwał naszą kontemplację swoją wcale niezłą francuzczyzną. Opowiadał nam o Turcji w czasie wojny i po wojnie, mówił o kapitulacji i ogólnej depresji, której ta ostatnia była przyczyną, a kiedy doszedł do przewrotu, dokonanego przez Kemal-Paszę, ściszył głos.

Są rzeczy, o których należy mówić po cichu. I kolega nasz Turek mówił po cichu o tym ciosie, który islamowi zadał Kemal Pasza. Sam był nacjonalistą i wierzył w odrodzenie się Turcji na podłożu ściśle nacjonalnem.

— Musimy koniecznie okrzepnąć po tem rozbięciu, którem była dla nas kapitulacja. — mówił i oczy mu błyszczały w świetle lamp elektrycznych, jak dwa rozżarzone węgle.

Zasypaliśmy go pytaniami, chcieliśmy wszystko wiedzieć dokładnie.

Więc Kemal-Pasza zadał cios islamowi? Tak, Kemal Pasza usunął kalifa, którym był dawny sułtan. Ale Turcja z tym ciosem się prędko pogodziła... Oto Turczynka, jego matka, siostra, jego przyszła żona, wyszła z haremu z odsłoniętą twarzą i jakże prędko zapomniała swoją smutną przeszłość. Dziś jest już człowiekiem.

A socjaliści? Mój sąsiad jest ciekaw, czy w Turcji są socjaliści. Kolega Turek jest trochę zakłopotany. Turcja nie posiada swego przemysłu, swoich fabryk, więc eo ipso i socjalistów w Turcji niema.

— Ale i my mamy ośmiogodzinny dzień roboty — dodaje skwapliwie, widząc złośliwe uśmiechy na twarzach moich kolegów. Ale koledzy uśmiechają się jeszcze złośliwiej... Ośmiogodzinny dzień pracy bez socjalistów!

Don Kichot zmęczył się i usiadł na grubej kłodzie, zrobionej z cienkiego papieru.

I my byliśmy już zmęczeni. Piękna dama o długich białych dłoniach, która przed chwilą tańczyła z Don Kichotem, robiąc z nami rachunek, omyliła się o dwa funty na naszą niekorzyść... Może tyle właśnie miał nas kosztować jej ładny taniec?... Ale mniejsza o to...

Nazajutrz w południe odwiedziliśmy posła naszego, pana ministra Romana Knolla. Pan Roman

Knoll mieszka stale w Angorze, teraz zaś z okazji otwarcia Polskiej Wystawy Przemysłowej bawi w Konstantynopolu. Jest on jednym z pierwszych przedstawicieli obcych mocarstw w Turcji, którzy zdecydowali się przenieść swoje legacje do tej nowej stolicy, położonej w miejscowości malarycznej i pozbawionej najprymitywniejszych wygód. To też nie byle jaką sympatją cieszy się teraz pan Knoll u Turków.

Legacja nasza w Konstantynopolu znajduje się w zupełnie europejskiej dzielnicy miasta w bardzo ładnej willi z ogródkiem. Pan Knoll jest bardzo wyrobionym i miłym człowiekiem. Urzędowa wizyta nasza zmieniła się wkrótce w bardzo miłe zebranie towarzyskie.

Resztę dnia tego spędziliśmy na włóczędce po ulicach miasta i odnajdywaniu ciekawych kątów, mrocznych i krętych przejść, kolorowych lilipucio małych sklepików i straganów ulicznych, a gdy noc zapadła ciepła i księżycowa, wypłynęliśmy małym kaikiem na Złoty Róg.

Ledwieśmy się wysunęli z labiryntu dużych, czarnych żaglówek i jakichś pokrytych rdzą i zdezelowanych starych parowców, wyrósł przed nami najeżony iglicami minaretów i olbrzymimi garbami kopuł Stambuł, niewzruszona ostoja tradycyji średniowiecznych, miasto święte i rozwiązłe i dotąd jeszcze pod wielu względami dla Europejczyka niedostępne.

Jeden z kolegów, który czas dłuższy mieszkał w Konstantynopolu mówi, że niebezpiecznie jest w nocy zapuszczać się w kręte i ciasne uliczki Stambułu.

Oczywiście, że o pewnych dzielnicach Warszawy dałoby się powiedzieć to samo, lecz tu, gdy suniemy Złotym Rogiem wzdłuż tajemniczo niewyraźnych zarysów nieznanego miasta, wersja ta w naszych oczach dodaje mu uroku. Jesteśmy nią przejęci i opowiadamy sobie różne niesłychane brednie z czasów dawnych i niedawnych — rzeczy prawdziwe i nieprawdziwe. O żonach sułtanów, potopionych w Bosforze, o odaliskach niewiernych, co srom i wstyd wносиły do haremów, o wymordowanych janczarach i o tysiącach chrześcijan, co zginęli w murach Aji Sofji podczas zdobywania miasta przez Turków.

Potem przechodzimy do czasów nowszych.

Oto niedawno jeszcze cały Konstantynopol był przepelniony psami. Dziś nie spotykamy ich na ulicach prawie zupełnie. — Gdzież się te psy podziały?

Na to zabiera głos kolega, który przez czas dłuższy mieszkał w Konstantynopolu.

— Konstantynopol Niemcom zawdzięcza pozbycie się tej plagi. To oni wytępilli psy.

— Czy je kazali wytruć? — pyta ktoś ciekawy.

— Nie, Turkowi nie można nakazać zabijania zwierząt. Zabrania mu to religja. Ale Niemcy i na to znaleźli sposób. Jest koło wysp Książęcych gdzieś przy azjatyckim brzegu na morzu Marmara mała wysepka pusta, niezarośnięta. Jutro wam ją pokażę. Na tę wysepkę kazali Niemcy Turkom przewieźć wszystkie psy z całego miasta. Straszne rzeczy zaczęły się wówczas dziać na tej wysepce. Wycie

i szczekanie psów słyhać było w Stambule. Skazane na śmierć zwierzęta zjadały się wzajemnie. Ostatecznie nikła część ich powróciła wpływ przez morze do miasta.

Długo po tej opowieści nie możemy przyjść do siebie. Tylko wojna może usprawiedliwić nieco ponurą grozę tego straszego obrazu. Mały fragment piekła dantejskiego na lazurówym morzu Marmara pod samym Stambułem.

Po powrocie do hotelu długo nie mogłem zasnąć. W mroku zalegającym pokój piętrzyły się nademną niewyraźne zarysy starych meczetów, olbrzymie garby kopuł, szare jakieś mury bez okien, ślepe i zjadające się wzajemnie gdzieś na wyspie bezludnej psy.

Nazajutrz zawiadomił nas pan poseł Knoll, że dyrektor departamentu prasy w Angorze zaprasza nas do Angory. Turcy chcą nam pokazać swoją nową stolicę.

Z początku chcieli jechać wszyscy, potem nikt. Jedni nie mieli już czasu, musieli bowiem czempredziej wracać do Warszawy, drudzy bali się niewygód i malarji.

Ostatecznie stanęło na tem, że pojedzie kolega Grzegorzcyk i ja.

EDWARD SŁOŃSKI.

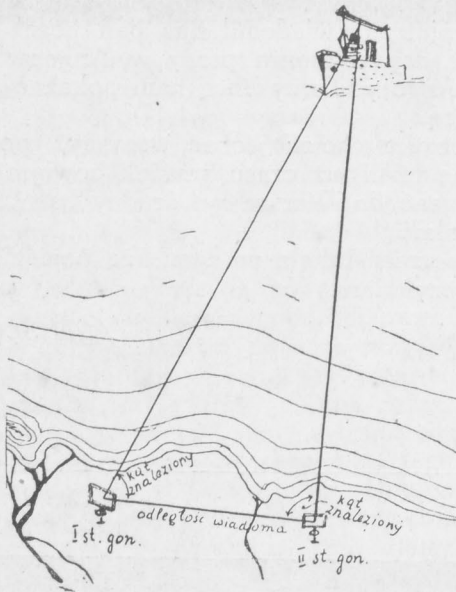


Jeden z najmłodszych miłośników radja.

TECHNIKA — WYNAŁAZKI

RADJO W ŻYCIU.

W numerze 1 „Biesiady“ podaliśmy czytelnikom naszym zasady radja. Obecnie dajemy niezmiernie ciekawy artykuł p. J. Odyńca o tem, jak ludzkość wyzyskuje ten potężny wynalazek.



Nie było radja i... „było dobrze“. Nie będzie radja... Na miły Bóg! tożby to była katastrofa! Marynarze, lotnicy, meteorologowie, astronomowie, giełdziarze, kupcy, podnieśliby larum... A miłośnicy radja!—Niech ręka Boska broni!

Nie długi jest żywot radja, ale już zdążyło zapuścić tak głębokie korzenie w życiu cywilizowanego świata, że ewentualny „radjoburca“ wyrwijąc je, zakłóciłby cały bieg życia.

Nawet obywatele z najzapadlejszych Mysikiszek i Psich Wólek, którzy przedtem może nie słyszeli nawet o radju — odczuli by na swej skórze w sposób pośredni, czem jednak ono jest tam, gdzieś na szerokim świecie, że przez wyrwanie jego podrożały śledzie, nafta, nawet te ziemniaki, które sam ze swego zagonu bez żadnego radja wykopuje.

Czemżesz więc jest to radjo, że mu przypisujemy tak wielkie znaczenie?

Na pytanie to nie odpowiem wprost, tylko rozwinię przed Tobą, Czytelniku, jego pochodź zdobywczy w rdzeń życia cywilizowanego.

Najpierwsi skorzystali z radja marynarze. To jasne, że musieli rzucić się z entuzjazmem do tego środka komunikacji, który pozwala im, będąc na morzu, nie być odciętymi od świata.

Już sam fakt, że mogą na morzu komunikować się z resztą ludzi, posiada dla marynarzy i podróż-

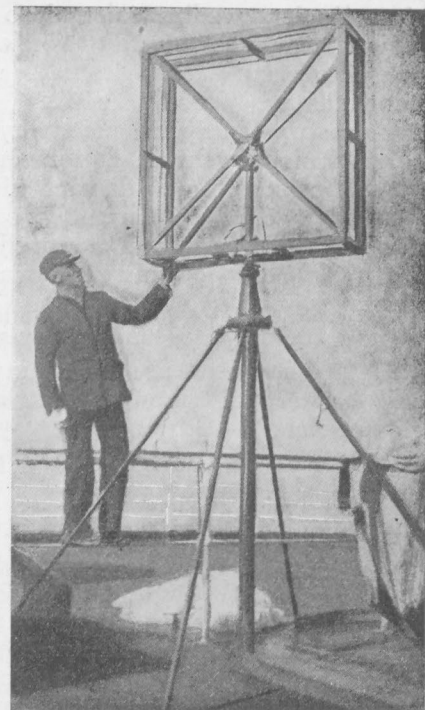
nych olbrzymie znaczenie ze stanowiska uczuciowego, ale prócz tego radjo daje marynarzom cały szereg korzyści praktycznych. Naprawdę, że nie wiem, które z nich postawić na pierwszym miejscu, gdyż wszystkie są równie ważne. A więc:

Jedną z największych bolączek do niedawna, była dla marynarzy trudność, jak określić długość geograficzną położenia okrętu. Na ściśle określenie szerokości, marynarz miał dużo sposobów.

Np.—zmierzy wysokość kątową gwiazdy polarnej i stąd już łatwo dochodzi do swej szerokości. A długość? Jeżeli marynarz wie, która w danym momencie jest godzina na południku Greenwich, a następnie która, podług słońca, na jego okręcie, to różnica czasu pozwoli mu obliczyć jego długość geograficzną.

Zatem marynarz musi dokładnie znać czas słoneczny i geograficzny.

Pierwszy może obliczyć dostatecznie ściśle z pomocą swych przyrządów astronomicznych, a z tym drugim przed radjem był zdany na łaskę i niełaskę chronometrów. Niech się chronometr zepsuje—kapitan już traci możność wytknięcia na mapie swego miejsca pobytu.—Zabłądził w morzu! Nie wie, gdzie



Radjogoniometryczna antena ramowa na pokładzie okrętu. — Ona to wskazuje kierunek latarni morskich radjowych.

jest! Może właśnie pędzi na rafy podwodne, które znajdują się o 75 mil morskich od jego właściwej drogi! Ile trwogi, ile zgryzot!...

Dziś tu już należy do przeszłości. Dziś marynarz, będąc w środku oceanu, może kilka razy dziennie regulować najdokładniej swój chronometr, a zatem i obliczać swą długość geograficzną.

Jednak, gdy z jakichkolwiek powodów, np. z racji długotrwałej mgły, zachmurzenia etc. marynarz nie może wykonać pomiarów astronomicznych, a więc i sprawdzić swego położenia geograficznego, to telegrafuje do pobrzeżnej stacji radiometrycznej, prosząc, aby określiła jego miejsce geograficzne, a po chwili otrzymuje ściśle wskazówki! Czyż nie cudowne? Czyż śmiałyby marzyć o czemś podobnym, już nie Columb, nawet nie Coock, ale... Juliusz Verne! A jednak tak jest! Posłuchaj Szanowny Czytelniku, a powiesz z odcieniem zawodu: „Tylko tyle?... Przecież tu nic nadzwyczajnego niema!”

Każda stacja radiowa odbiorcza chwytą z przesłrzeni sygnały radiowe z pomocą anten. Pewien rodzaj tych anten, t. zw. anteny ramowe, które nie są niczem innym, jak tylko zwojem kilkunastu drutów, nawiniętych na bęben czy ramę, reagują najsilniej na sygnały, idące ku płaszczyźnie zwojów, a nie reagują wcale na sygnały, idące prostopadle do płaszczyzny tych zwojów.

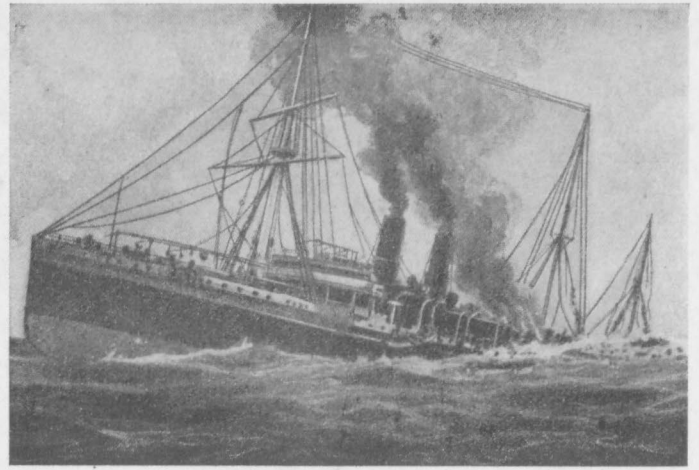
Potężna stacja radiometryczna, otrzymawszy z morza wezwanie do pomiarów radiometrycznych jakiegoś zdezorientowanego okrętu, obraca swoją antenę ramową póty, póki sygnały danego okrętu staną się niesłyszalne, a wtedy już poznała kierunek, w jakim znajduje się dany okręt. Jednocześnie stacja ta wzywa, zwykłym telefonem czy telegrafem, inną stację radiometryczną, aby wykonała takie same pomiary. Otrzymałszy od niej odpowiedź, wie już, w jakich kierunkach od tych dwóch stacji znajduje się okręt. Zatem wykreślając na mapie te kierunki, otrzymamy, że w punkcie ich spotkania znajduje się dany okręt. Rysunek, który dajemy, tłumaczy to postępowanie jeszcze wyraźniej.

Któż z nas nie zna, chociażby z powieści morskich, jak niebezpieczną jest żegluga w pobliżu wybrzeży. Wiemy, jak starannie wszystkie narody budują na swych pobrzeżach morskich latarnie morskie i z jaką uwagą marynarze wypatrują z dali błyski tych zbawczych światła. A niech przyjdzie mgła, o co na morzu nietrudno — latarnie ślepną! Cóż wtedy? Doniedawna w czasie mgły na latarniach morskich puszczano w ruch motory, które obracały syreny. Ryk to potężny. Słychać go na dziesiątki mil morskich, ale niech gwizdnie wicher, niech rykną bałwany... Ciemń, wichura, jesienny deszcz ze mgłą... Wtedy latarnia jest najpotrzebniejsza, a w szarudze nie widać jej, ani nie słychać syreny wśród grzmotu fal. Groza!

Nie, to było! — Dziś latarnia morska radiowa ostrzeże okręt poprzez mgłę i szarugę i ryk fal, że brzeg blisko. Bacność! I... z pomostu kapitana brzmi komenda: „Ster na prawą burtę. Maszyna pełny bieg!” — Uratowani!

A teraz inny obraz:

Wylał się gdzieś, w głębi Sahary, czy pól lodowych, czy bezdroży morskich — wicher. Orkan! Taj-



Okręt tonie, ale póki nie zniknie pod wodą, z jego anteny rozpiętej między wierzchołkami masztów płynie zew: SOS, SOS, SOS — Ratujcie! Toniemy. Niebawem ze wszystkich stron horyzontu wynurzą się okręty, spiesząc na pomoc.

fun! Wpadł na ciche morze i gna jak szalony, mącąc ocean aż do dna! A na oceanie płyną spokojnie, nie nie przeczuwając, pod wszystkimi żaglami, okręty. Wpadł na nie zniecka, porozdzierał płótna, potargał liny, maszty połamał, a poniektóre, to i całkiem przewrócił. Szukajże teraz na nim sprawiedliwości! Ej, dziś mu taki figiel się nie uda, bo niech się tylko pokaże, już przed nim biegnie na skrzydłach radia wieść od okrętu do okrętu: Bacność! Orkan! I okręty umykają mu z drogi, pomniejsze statki chronią się pod osłonę portów, inne zwijają żagle, umacniają łodzie, reje, uprzętają co zawadza — będą walczyć.

Tak samo się uprzedza wicią radiową o górach i polach lodowych, co to na wiosnę wyruszają sobie ze stref podbiegunowych na łobuzerskie wyprawy do mórz cieplejszych.

Ale z tych ich figlów ginęły okręty, tonęli ludzie, a potem długo chodziły po ziemi w żalobie matki i żony zaginionych. Przybywały na cmentarzach krzyże z napisem: „...zaginął w morzu”... Taki krzyż, to nie prosty sobie krzyż, to znak bólu i łez i bezmiernej tęsknoty istot kochających, które zostały.

Tak było — dziś radio w porę ostrzeża żeglarzy.

Jednak pomimo to wszystko, zdarza się i dziś jeszcze, że okręt, czy to nie wytrzymał naporu burzy, czy przez nieuwagę załogi wpadł na rafy lub góry lodowe, czy pożar na nim wybuchnął, dość że tonie. Wokół roztocz morska. Żadnego okrętu nie widać a horyzoncie. Do brzegu tysiąc mil! Grzebienie bałwanów przestają być grzebieniami — to pazurzyste łapy śmierci, które wyciągają się z toni i usiłują przykryć dłonią, pochłonać rozbitków. Tysiące ich, tysiące zbiegają się z całego oceanu, biegną od horyzontu szeregi jeden za drugim... A pod nimi rekiny kłapią zębami.

Jest radio! Pomiędzy wierzchołkami masztów rozpięte druty. Z drutów tych na wszystkie strony płynie zew: SOS, SOS, SOS... Ratunku! Toniemy! Na ten głos ustaje na morzu rozgwar radiowy, milkną okręty jeden po drugim — słuchają. A potem biegną telegrafisci do kapitanów z meldunkiem, — pośpieszne



Po czarnej kawie zasiadło małżeństwo w pokoju bawialnym i słucha koncertu radjowego. Cała radjowa stacja wraz z małą anteną ramową mieści się w stoliku

badanie map, a potem komenda: „Sternik! Kurs nord, nord west! Maszyna pełny bieg! Załoga na miejsca, szykować szalupy!” I wokół tonącego okrętu wykwitają z za horyzontu słupy dymów; jak z pod wody wyłaniają się okręty z sukursem.

I nie przybędzie na cmentarzach krzyżów bezgrobnych i nie popłynie rzeka łez macierzyńskich, sierocych i wdowich.

A czym jest radjo dla podbiegunowych żeglarzy, których zima zastała na morzu! Dawniej byli odcięci od świata, dziś, w długie zimowe wieczory słuchają sobie, przez radjo ostatnich nowin, koncertów, odczytów, bajek dla dzieci, opowiadanych w Londynie czy Nowym Jorku. Mają wrażenie że poczciwa „Ciocia Peggy” jest tuż, o pół metra—są między ludźmi!

W podobny sposób jak marynarzom, potrzebne

jest radjo lotnikom, jednak służy ono nietylko żeglarzom mórz i powietrza.—Na ziemi oddaje niemal równie wielkie usługi.

Kto stykał się z giełdą, ten wie, jak wielkie znaczenie posiada, już nie dla samych giełdźarzy, ale dla całego handlu danego kraju szybkie otrzymywanie notowań i tendencji giełdowych ważniejszych giełd świata. Pod tym względem radjo jest niezastąpione, gdyż ten, kogo to interesuje, może siedząc w swym gabinecie, słyszeć o przebiegu posiedzenia giełdowego w czasie, gdy trwa! Dotyczy to zarówno giełdy pieniężnej, jak i towarowej.

Kto jest rolnikiem, lub choćby tylko wakacje spędzał na wsi, ten wie, co warta podczas żniw, czy sianokosu wczesna wiadomość o nadchodzącej burzy i długotrwałej pluchocie.—Radjo uwrzędza o tem! O, pod tym względem organizację radjową służby meteorologicznej pomyślano i zastosowano szeroko. Zawszeżajac tej organizacji, centralne stacje poszczególnych krajów mogą opracować prognozyki pogody na 48 godzin naprzód i rozsyłać je radjem na cały kraj. Wysłali, a w tej chwili w każdej wsi otrzymują sółtysi komunikat i umówionym sygnałem podają go do osólnej wiadomości. Czyż nie cudownie?

Studenci! Wy, nasi biedni, polscy studenci, co ucząc się, musicie zarazem na chleb sobie pracować, w studenci z miast prowincjonalnych, co się poniewieracie w stolicy bez własnego mieszkania.—Czyżby nie lepiej wam wszystkim było słuchać wykładów przez radjo w swem mieszkaniu?—Otóż, kilka uniwersytetów już zapoczątkowało takie wykłady.

Iluż to ludzi chciałoby posłuchać różnych odczytów! Ale... po dniu ciężkiej pracy iść w tłok, ubierać się, jechać, kupować bilety, może spóźniwszy się, wracać z niczem do domu?...—Nie chce się. A mając w domu aparat radjowy—wszystkich tych kłopotów się unika. Siedzimy wygodnie u siebie w fotelu i słu-



Amerykański konny oddział radjotelegraficzny rozbił w polu stację nadawczo-odbiorczą. Żołnierze na lewo nadają i odbierają depesze. Na prawo dwóch żołnierzy kręci korbą dynamo-maszynę czyli prądnicę, która dostarcza prądu aparatowi.

chamy odczytu sławnego profesora. To daje broadcasting, t. j. gazeta radjowa.

Babcia ma słaby wzrok, nie może czytać gazety — lektor broadcastingowy jej czyta przez radjo, a ona... słucha, cerując pończochy!

Broadcasting gra koncerty przez radjo posiadaczom odbiorników przy obiedzie i kolacji, gra do tańca wieczorom, opowiada bajki dzieciom, śpiewa kołysanki niemowlętom.

Broadcasting!

Więc wiemy, czym jest radjo dla marynarzy i lotników, dla kupców i giełdjarzy, dla rolników, dla broadcastingu. Możemy się łatwo domyśleć, czym jest dla wojska polityków, dyplomatów, dziennikarzy itd., ale radjo oddaje jeszcze jedną olbrzymią usługę ludzkości, o której mało kto wie, a jeszcze mniej kto zna — czenie jej docenia. Zaraz powiem, tylko nie wruszajcie Państwo ramionami, zanim nie wysłuchacie do końca.

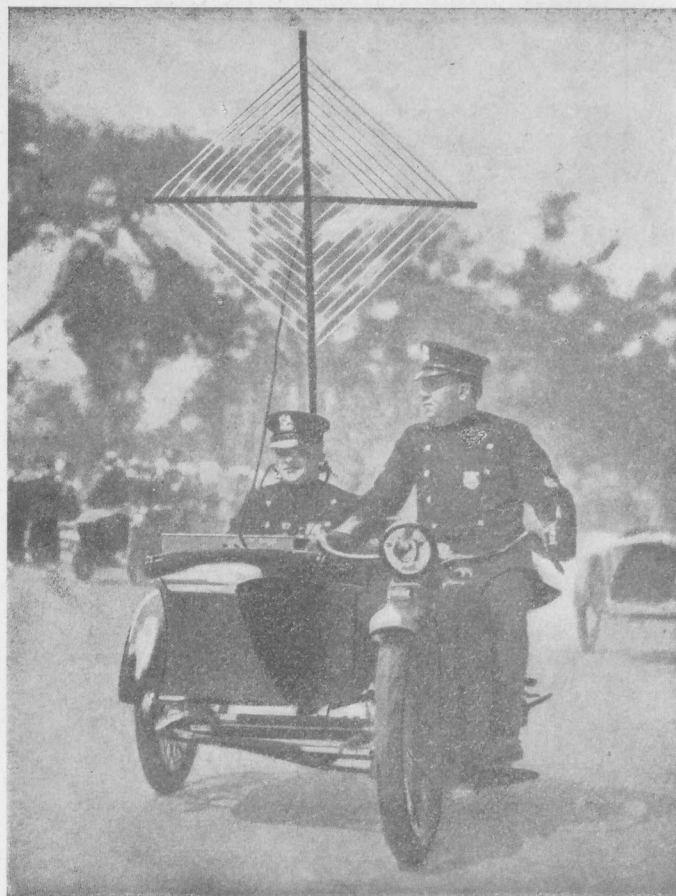
Radjo reguluje najdokładniej chronometry obserwatorów astronomicznych. Myliłby się, ktoby sądził, że to może obchodzić jedynie astronomów.

Astronomja tem jest dla świata, czym laboratorium doświadczalne fabryki samochodów dla automobilistów. Automobilistę laboratorium to nic nie obchodzi, ale gdyby nie było laboratorium, nie byłoby jego samochodu.

Cały dzisiejszy rozwój techniki zawdzięczamy w głównej mierze mechanice teoretycznej, a cała mechanika spoczywa na trzech prawach Newtona, odkrycie zaś tych praw, byłoby wprost niepodobieństwem, bez astronomji. Astronomji je zawdzięczamy.

Prawa te już odkryto, ale na tem nie skończyła się jeszcze rola astronomji. Praca astronomów w sposób niewidzialny wciąż podsyca i zasila naukę — daje jej coraz to nowe materiały, z których uczeni wciąż pogłębiają wiedzę, a z tej wiedzy konstruktorzy budują coraz nowe i coraz lepsze maszyny.

Astronomja nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa! Zagadka istoty materji jeszcze nie rozwiązana. Rozwiązanie się wtedy, gdy wszystkie prawa przyrody będą matematycznymi wnioskami z określenia materji, a robienie wynalazków stanie się rzemiosłem.



Radjo policji nowojorskiej — Patrol policji mknie na motocyklu. — Na wózku widzimy antenę ramową, połączoną z aparatem, stojącym na kolanach agenta. To cała stacja odbiorcza. Jadąc odbierają rozkazy z policji.

Odkrycia tego określenia materji należy spodziewać się od astrofizyków.

A teraz, nawiązując do wstępu niniejszego artykułu — proszę powiedzcie Szanowni Czytelnicy już sami sobie, czyż nie miałem racji, przypisując radju tak wielkie znaczenie w życiu społecznem?

JANUSZ ODYNEC.

W O L N E Ż A R T Y

NIEZWYKŁY POJEDYNEK.

Panie Eregold, przychodzimy, jako sekundanci pana Wyskoczyńskiego. Pan Wyskoczyński żąda satysfakcji honorowej z bronią w ręku. Czy pan się zgadza?

— Co ja się mam nie zgodzić?

— Dobrze. Więc na jaką broń pragnie pan walczyć i na jakich warunkach?

— Na szable, jeden od drugiego dziesięć kroków i nie wolno rzucać.



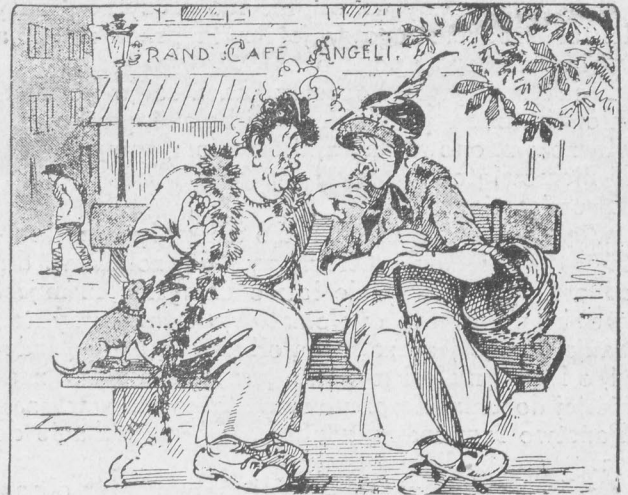
Podatki w Niemczech —
podług
Simplicissimusa.

JĘZYK URZĘDOWY — JAK U NAS.



Profesor języka francuskiego dostał nagłe obłędu, usiłując wydobyć sens z zawilej treści podatkowego nakazu płatniczego (Journal).

NIECH MI PANI WIERZY.



I niech mi pani wierzy, droga pani Petasson: gdy kobieta nakazuje sobie szacunek, to ją szanują... choćby była nie wiem jak piękna... mówię to pani z własnego doświadczenia.

LE JOURNAL AMUSANT.

C H W I L A B I E Ż A C A

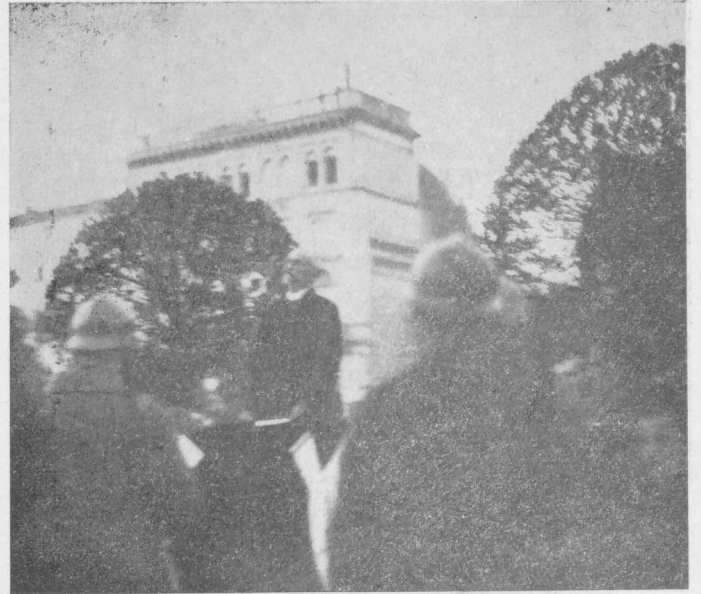


Śmiertelnych
szczętków
Tego, który
budził
w Narodzie
ducha
rycerskiego,
strzegą
następcy
rycerzy
Grunwaldu,
Zbaraża,
Chocimia,
Wiednia.

Fot. H. Vlassak*



Ślązaczki i Ślązacy na stacji w Dziedzicach oddają uroczysty hołd zwłokom mistrza słowa polskiego.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej na obrzędzie pogrzebowym Sienkiewiczowskim podczas pochodu przemawia pod pomnikiem Mickiewicza.



Dekoracja żałobna Dworca Głównego w Warszawie—dzieło arch. Szrettera



Katafalk przed dworcem.

Fot. H. Vlassak.

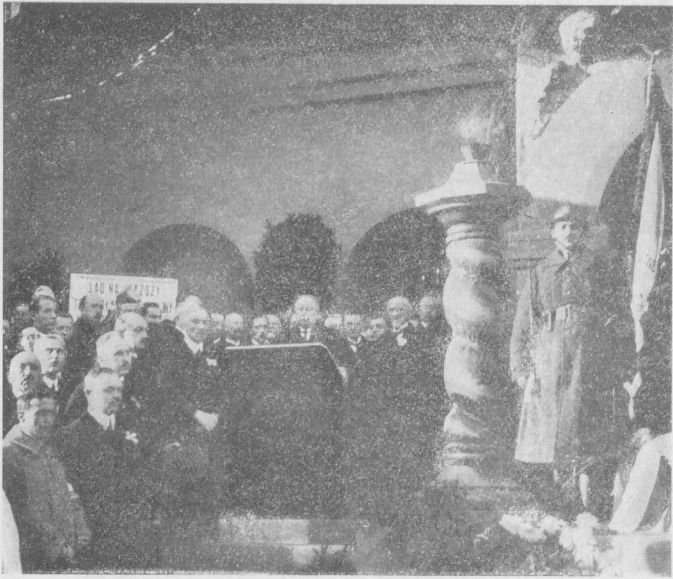


Senat Uniwersytetu Warszawskiego z rektorem Kryształowiczem na czele.



Episkopat polski na uroczystościach Sienkiewiczowskich.

Fot. H. Vlassak.



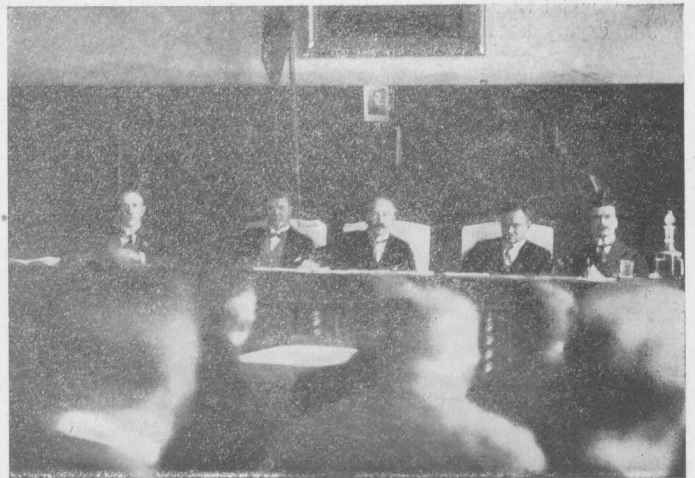
P. marsz. Sen. Trąpczyński przemawia u trumny Sienkiewicza.



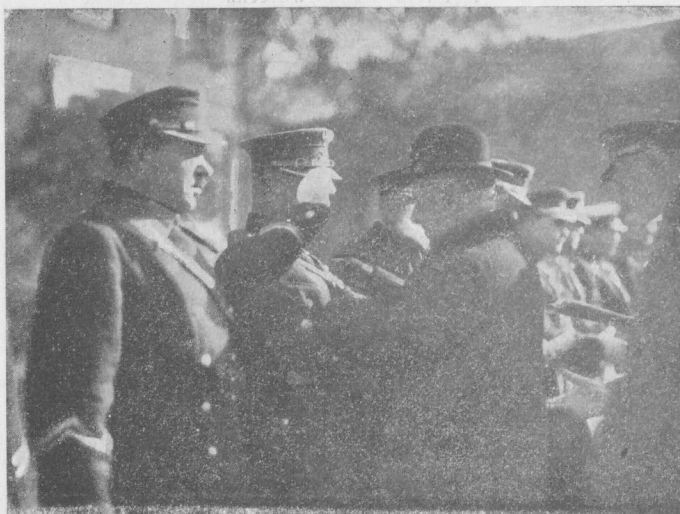
Fot. filmowa Wytwórni Doświadczalnej.
Pan Prezydent w Sandomierzu—wreca dowódcy 4 pułku saperów sztandar pułkowy.



Zjazd urzędników samorządu miejskiego, powiatowego i wiejskiego, odbyty w Warszawie 27 paźdz. w sali C.T.R.



Prezydjum Zjazdu urzędników samorządowych: pp. Garska sekretarz, Popiołkiewicz, dr. Kubalski przewodniczący, Grochowski, Gajewski.



Fot. H. Vlassak.
P. minister Hübner dekoruje krzyżami policjantów, zasłużonych w walce z bandytami.



Pokaz psów policyjnych na placu koszar na Ciepłej 13 w obecności p. min. Hübnera — pokaz ze strzałem z karabinu; po strzale pies rzucił się na strzelającego policjanta.



KRYPTA SIENKEWICZA
w Katedrze Warszawskiej — dzieło archif. K Jakimowicza.

W Y B O R Y W A N G L J I.



Zwycięska partja zachowawcza walczyła argumentami antybol-szewickimi: Oto na afiszu tej partji bolszewik wyciąga grabieżcze łapy po pieniądze angielskie.



Z wyborów angielskich — Lloyd George na wiecu przed-wyborczym przemawia za stronnictwem liberalnem.



Afisz wyborczy stronnictwa liberalnego w Angli — Mimo takie wymowne afisze, partja liberalna sromotnie przegrała.

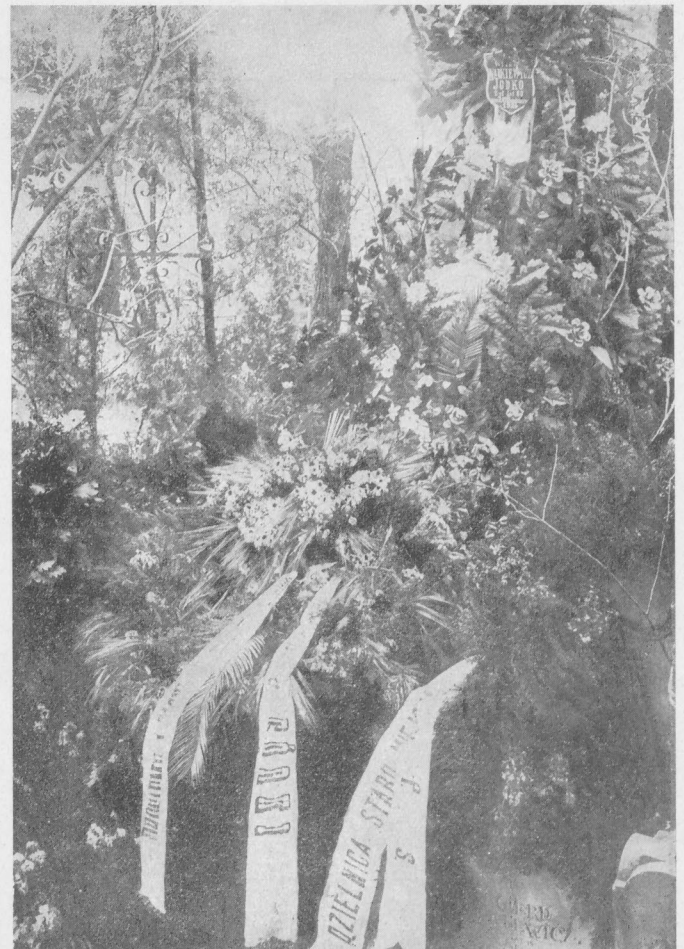


Radjo na usługach walki wyborczej. — Po ulicach Londynu jeździ sobie samochód z aparatem odbiorczym i przystając miejscami, „rozwozi” mowę wyborczą wśród przechodniów, „którzy gromadzą się tłumnie i ciekawie słuchają.

ŚWIĘTO UMARŁYCH — NA POWĄZKACH



Grób Księdza Ignacego, Jana Skorupki, bohatera z roku 1920



Świeży grób Witolda Narkiewicza-Jodko, b. pości polskiego w Konstantynopolu, jednego z twórców P. P. S.

K O N K U R S B I E S I A D Y

NA POLSKI WYRAZ

NA MIEJSCE „BROADCASTINGU“

Język musi dążyć za postępem techniki. Nie możemy w żadnej dziedzinie życia opieszale postąpić się wyrazami zupełnie obcymi.

Wychodząc z powyższego stanowiska,

Redakcja „Biesiady“

ogłasza

K O N K U R S

na wyraz polski na miejsce używanego dotąd w naszej radjotechnice wyrazu angielskiego

B R O A D C A S T I N G

Warunki konkursu:

1. Wyraz musi być utworzony podług zasad słowotwórstwa polskiego. Požadany jest wyraz, mający nie więcej nad 3 zgłoski.

2. Termin nadsyłania proponowanych wyrazów 15 grudnia r. b.

3. Nagroda za wyraz najlepszy, zarówno dobrze oddający treść, jak i zupełnie zgodny z zasadami języka polskiego, wynosi

100 ZŁOTYCH.

4. W skład sądu konkursowego, prócz redaktora Biesiady, wchodzić będzie 2 literatów znawców języka oraz 2 techników, których nazwiska wkrótce ogłosimy.

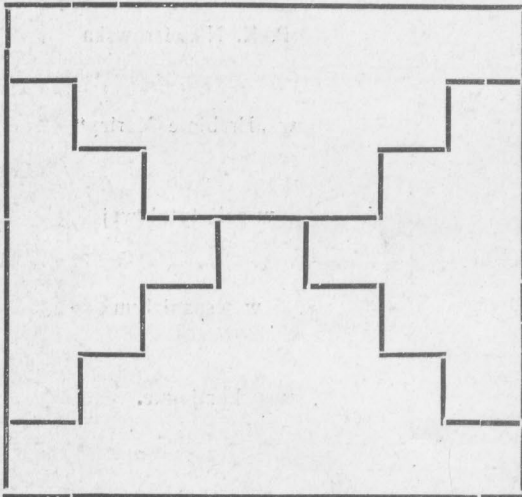
R O Z R Y W K I

OD REDAKCJI.

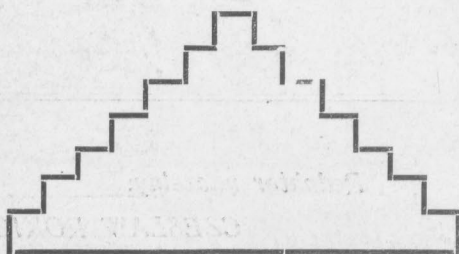
Wraz z dzisiejszym numerem „Biesiada“ wprowadza na swe łamy dział rozrywek umysłowych. Za trafne rozwiązanie wszystkich rozrywek, zawartych w dwóch kolejnych numerach redakcja „Biesiady“ przeznaczona do rozlosowania 3 wybitne powieści polskie.

SCHODKI.

I.



II.



Cztery figury w formie schodków z kwadratu pierwszego rozmieścić w ten sposób, by razem tworzyły figurę schodkową II.

KWADRAT MAGICZNY.

Z podanych liter ułożyć pięć wyrazów, jednako brzmiących, czy się je czyta poziomo czy pionowo.

a a a a a
a a a d d
o o s k k
k r e e l

Znaczenie wyrazów:

1. Pałac królewski.
2. Mniejsze miejsce posiadania.
3. Rzeka.
4. Imię żeńskie.
5. Część przedmiotu.

BILETY WIZYTOWE.

Z liter nazwisk, ułożyć zajęcie, względnie godność danych osób:

1.

Ż. KORTA

2.

O. PROSPER

3.

E. EKSTRARZ

SZARADY.

Gdy hałas nadto ci przeszkadza
jak rabbi pierwsze wypowiadasz,
godzina pierwsza druga przecie
drugie pół trzecie w ciszy siadasz
i myślisz: trudna drugie trzecie.
życie całością jest na świecie.



Fot. St. Brzozowski.
TEATR MAŁY — PP. Czaplińska, Modzelewska i Grabowski w „Szoferze Archibadzie”.



Fot. J. Malarski.
TEATR LETNI — PP. Ćwiklińska i Jánosza Stępowski w „Skandalu.”



P. K. Niewiarowska

w „Hrabinie Maricy”

w roli tytułowej

w wspaniałym

kostjumie.

Redaktor naczelny:

CZESŁAW ROKICKI.

ZAKŁADY HOHENLOHEGO

HOHENLOHE-WERKE

SPÓŁKA AKCYJNA

WEŁNOWIEC G. ŚL.

HOHENLOHEHÜTTE O. S.

TELEFON ZARZĄDU GŁÓWNEGO: KATOWICE, Nr. 440-48, 454



Oddział I. Węgiel

Węgiel płomienny z kopalń:

MAKS — WUJEK — GEORG

Zjednoczona Hohenlohe-Fanny

Oddział II. Metale

Blacha cynkowa Cynk H. H. Korona
(podwójnie rafin.)

Cynk Hohenlohe Pył cynkowy
(rafin. i nierafin.)

Oryginalny ołów hutniczy

Oddział III. Kwasy

Kwas siarkowy (60° Be) techn. czysty.

Kwasy siarkowe od 92 — 100%

Oleum 12%

Oleum 12%



ELEGANCKA

WARSZAWA

ubiera się tylko

u

St. Rzewuskiego

WARSZAWA, HOŻA 27.

Wielki wybór
KAPELUSZY

najnowszych fasonów

poleca

Maison de Mode

E. WARBINA

Warszawa, Krucza 22.

„TATRA AUTO”

Warszawa, Al. Jerozolimskie 14. ———— Tel. 409-22.

Bank Cukrownictwa w Poznaniu

Centrala:

Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego No. 2
tel. 12-17; 36-48; 54-06; 54-59;

Oddział:

Warszawa, Krak.-Przedmieście No. 55
tel. 68-87; 68-13; 68 27; 68 24; 263-00; 68 81;

Konto przekazowe w BANKU POLSKIM No. 202764 Konto w P. K. O. No. 8170.

Wydział Bankowy:

Przyjmuje wkłady na rachunki bieżące, lokaty w walucie krajowej i zagranicznej, dokumenty do inkasa; załatwia przekazy i akredytywy w kraju i zagranicą oraz wszelkie inne operacje wchodzące w zakres bankowości.

Wydział Komisowo-Towarowy:

Uskutecznia komisową sprzedaż na rynku wewnątrz. oraz eksport cukru z Cukrowni Zrzeszonych w Związku Zachodnio-Polskiego Przemysłu Cukrowniczego i w Związku Zawodowym Cukrowni byłego Królestwa Polskiego.

Uskutecznia zakup dla Cukrowni materiałów opałowych, oraz nawozów sztucznych.

CENY OGŁOSZEŃ

Strona	1/1	1/2	1/4	1/8
II i III okładki	180.—	90.—	45.—	25.—
IV okładka	220.—	110.—	60.—	30.—
za tekstem	170.—	85.—	45.—	23.—
opisowa	300	150	—	—

Fotogr. i klisze na rach. klienta.
Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: Kron. Towarz. i Komunikaty za 1 m/m 65 groszy. Pierwsza strona tekst za 1 m/m 3 zł. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada.

PRENUMERATĘ I OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ:

„Z. I. W.“ Agencja Wydawnicza
Centrala: Warszawa, Nowy-Swiat 50 m. 4a tel. 291-60.
Oddziały:

konto czekowe w P.K.O. № 8.866.
w Katowicach: Plebiscytowa 2, I-sze piętro.
we Lwowie: Lenartowicza 12.
w Łodzi: Gdańska 57, tel. 27-90.
w Poznaniu: Św. Wojciecha 3.
w Białymstoku: Koszykowa 22, tel. 430.

Prenumerata: wraz z przesyłką rocznie 45 zł., półrocznie 23 zł., kwartalnie 12 zł. zagranicą podwójnie.

Redaktor Naczelny
Czesław Rokicki

Za wydawnictwo
Mikołaj Korwin-Sobolewski

Redaktor odpowiedzialny
Tadeusz Jaszczewski